Nr. 7. Poznań, dnia 16-go lutego 1913 Rok XVII.

PRACA

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . 2,— z odnoszeniem do domu . . . 2,12 pod opaską . . 3,50

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38 — Telefon Nr. 397. — OGŁOSZENIA: od wiersza drobnego 30 fen.

Tygodnik polityczny i literacki, illustrowany.

Handel i przemysł.

Słowa te wymawia się zazwyczaj w jednym tchu, jakoby na instynktowne stwierdzenie łączności i wspólności interesów tych dwóch gałęzi zarobkowości.

I rzeczywiście są te dwie gałęzie pracy ludzkiej ściśle na siebie wskazane i powodzenie i rozwój jednego od powodzenia i rozwoju drugiego zależy.

Handel — jak to powszechnie wiadoma — zdobywa i rozszerza pole zbytu dla wytwórczości przemysłowej. Im tedy handel lepiej pojmuje swoje zadania — tem większe przysługi świadczy przemysłowi. I odwrotnie im lepsze wytwory przemysł dostarcza handlowi tem bardziej go czyni odpornym wobec konkurencyi obcej.

Z tego stanu rzeczy wynika pewnik, że handel, jeżeli pragnie być rzeczywiście czynnikiem dodatnim w życiu gospodarczem danego społeczeństwa, szczególniejszą pieczołowitością powinien otaczać wyroby przemysłu swojskiego. Jeżeli o tem zapomina, dobrowolnie zrzeka się części swego wielkiego dla gospodarczego rozwoju społeczeństwa znaczenia, a może nawet stać się instytucyą wręcz szkodliwą.

Handel bowiem — jak wiadoma — nie jest sam przez się istotnie produktywnym. Staje się nim atoli pośrednio, jeżeli dopomaga do rozwoju przemysłu, tej istotnie twórczej, produktywnej gałęzi zarobkowości ludzkiej.

Handel, który wyłącznie zajmuje się rozdziałem i rozszerzaniem wśród społeczeństwa produkcyi przemysłu obcego, staje się wrogiem produkcyi krajowej i działanie jego gospodarcze staje się ujemnem, gdyż przyczynia się najskuteczniej do wyprowadzania pieniędzy z kraju tj. do ubożenia społeczeństwa. Obowiązkiem zatem kupiectwa jest znać i badać należycie produkcyę przemysłu swojskiego i dla tej produkcyi rynki zbytu zdobywać.

Czy tak postępują wszyscy kupcy polscy w stosunku do przemysłu swojskiego, to pytanie, na które odpowiadać nie będziemy.

Przypuśćmy jednak, że tak nie jest, a przynajmniej, że poparcie przemysłu swojskiego przez handel polski bardzo jeszcze jest niedostateczne — czyż tylko kupcowi przypiszemy winę, jak to czynią niekiedy niektórzy przemysłowcy nasi?

Czy i przemysłowiec nie ponosi w tem winy?

Minęły bezpowrotnie czasy, kiedy przemysłowiec mógł z założonemi rękoma oczekiwać, aż przybędą doń kupcy i za pieniądz gotowy i dobre słowo nabędą jego wyroby.

Dziś nie starczy tylko wyrabiać dobry towar, należy także zainteresować nim należycie handel, który jest powołanym pośrednikiem pomiędzy przemysłowcem produkującym, a konsumującą publicznością. Trzeba nadto trafić do publiczności, przypominać jej ustawicznie, że ten a ten przemysłowiec taki a taki towar produkuje i w ten sposób pośrednio wywierać nacisk na kupca, aby rzeczony towar miał na składzie.

Konkurencya przemysłowa jest po dziś dzień tak wielka, kupcy tak są zarzuceni najrozmaitszemi ofertami, że potrzeba niemałego wysiłku, aby zaaklimatyzować w handlu wyroby mniej znanych zakładów przemysłowych.

Pod tym względem jednak zapobiegliwość przemysłowców polskich często dużo pozostawia do życzenia.

Jeżeli słuszne są skargi na to, że kupcy nie wyzyskują dostatecznie najpotężniejszego środka reklamy, jakim jest anonsowanie w gazetach, to zarzut ten jeszcze bardziej wobec przemysłowców naszych jest uzasadniony.

Nie starczy anonsować w specyalnych pismach kupieckich, nie starczy nasyłać kupców listami i cyrkularzami. Trzeba koniecznie zwrócić się wprost do publiczności, co tylko przez stałe inserowanie we wielu pismach osiągnąć można. Trzeba przyzwyczaić publiczność, aby przy zakupnach w handlach wprost żądała takiego a takiego wyrobu, a wtedy kupcy, chcąc nie chcąc, będą musieli we własnym interesie zastosować się do życzeń publiczności i staną się na prawdę tem, czem być powinni, pośrednikami pomiędzy produkcyą a konsumcyą rodzimą.

Galicyjska sejmowa reforma wyborcza.

Sejm galicyjski jest jedyną naszą reprezentacyą, w której rozbrzmiewa język polski i w którym pod przewodnictwem własnego marszałka obradować możemy nad własnemi sprawami i sprawami własnego kraju. Ale sejm jest reprezentacyą stanową, największy głos i najwięcej mandatów posiadają właściciele ziemscy, warstwa w Galicyi będąca na wymarciu. Dość powiedzieć, że wskutek ustawicznego zanikania majątków ziemskich wybory na posłów z większej własności przychodzą do skutku kilkunastoma nieledwie głosami. Miasta mają już znacznie mniej mandatów. Nadto przy wyborach do sejmu głosować mogą tylko więcej opodatkowani, gdy reszta nie posiada praw wyborczych.

Nie dało się to we znaki jeszcze dotąd, dopóki i do parlamentu prawa mieszkańców były ograniczone, ale odkąd wybory do tej izby odbywają się na podstawie czteroprzymiotnikowego głosowania, odtąd znaczenie sejmów w państwie austryackiem spadło do minimum. Szerokie bowiem masy ludności zainteresowane są znaczniej pracą parlamentu, gdyż na pracę, ani na skład sejmu wpływu nie mają. Oczywiście, że to silnie zachwiało i podkopało powagę sejmów, a temsamem i sejmu galicyjskiego. Jeśli zaś zważy się, że rząd centralny wyraźnie zaznaczył, że nie dopuści bezwarunkowo do czteroprzymiotnikowego prawa do wyborów sejmowych, to trzeba przyznać, że jest to oczywisty zamach na zmniejszenie powagi i wpływów sejmowych. Następstwem tego jest w dalszym ciągu wzmacnianie centralizmu austryackiego z uszczerbkiem dla autonomii krajów. Rząd nie chce dopuścić do tego, aby szerokie masy ludności były w równej mierze zainteresowane sprawami sejmu jak i parlamentu, bo wie, że te szerokie masy przez sejmy zaczęłyby coraz silniej oddziaływać na parlamenty, na ustrój państwowy, tembardziej, że ustawiczna apatya parlamentu i jego bezproduktywność coraz bardziej odstręcza szerokie masy ludu od niego, które coraz to bardziej tracą ufność w skuteczność jego pracy. Z tego samego powodu też rząd nie stara się doprowadzić do spokojnej pracy w sejmach. Dość powiedzieć, że dziś ani jeden z sejmów większych krajów nie pracuje i raz po raz pojawiają się głosy, czy wogóle opłaci się zwoływać sejmy. Dodawszy do tego krótkotrwałość sesyj sejmowych, ich szczupłość zakresu, otrzymamy, że właściwie sejmy są raczej cieniem autonomii jakiejś, a są one skazane przez rząd centralny na wymarcie w chwili właśnie tej, kiedy ze strony różnych ludów państwa austryackiego pada hasło federalizmu krajów.

Sejm galicyjski nosi więc zarówno z innemi te zarodki śmiercioniosne, jakim ulegają i inne sejmy. Nadto sejm nasz trawiony jest obstrukcyą ruską. Rusini wobec dotychczasowego systemu wyborczego są na równi z ludnością wiejską polską słabo reprezentowani w sejmie, z tego też powodu oni najbardziej żądają reformy wyborczej. Rokowania toczą się już od lat kilku. Obecnie doszły do zenitu, a jak teraz okazuje się, prawdopodobnie przyjdzie do zgody, na podstawie której Rusini w miejsce dotychczasowych 20 kilku mandatów, otrzymają pewne 62 mandaty. Jedno tylko w tych rokowaniach odbijało się niesympatycznem echem, a mianowicie fakt, że rokowania były prowadzone pod auspicyami rządu we Wiedniu, jakby na urągowisko, że dwa bratnie ludy słowiańskie nie mogą same pogodzić się, ale musi ich godzić Niemiec.

Również dotychczasowa taktyka ruska wskazała, że zgoda ta będzie bardzo platoniczna. Wątpliwe jest, czy przy najmniejszej znów okazyi Rusini nie rozpoczną obstrukcyi w nowym sejmie, lub czy znów nie odwołają się do pomocy i interwencyi Wiednia, który w myśl swego hasła starego divide et impera, tylko czeka na tego rodzaju sposobność. W ten sposób sejm nasz stałby się jakimś manekinem ciała prawodawczego, a zostałby raczej igraszką i pośmiewiskiem, a z tem zniknęłaby i reszta naszej autonomii.

O powiększeniu i rozszerzeniu autonomii w dzisiejszych czasach panowania militaryzmu, w dzisiejszych czasach rządów bez 14 paragrafu, ale silnych i centralistycznych, nie ma mowy. Było wiele czasu i sposobności, mogliśmy wiele wywalczyć, przez lat 50 nie posunęliśmy ani na krok sprawy autonomii, ani nabytych praw rozszerzyć nie potrafiliśmy, dziś ani czas ani sposobność, wśród zmienionych warunków stokroć ciężej będzie, jeśli się zważy, że pierwsi Rusini będą przeciwnikami tej autonomii, albowiem zdawać się im będzie, że każde rozszerzenie praw sejmu galicyjskiego, jest zarazem rozszerzeniem praw i panowania polskiego.

S. W.

Lud polski a powstanie r. 1863-go.*)

„Posłyszeli Ducha głos,
rozpion się nad nimi Los",

jak powiada Chochoł w Weselu Wyspiańskiego i poszła szlachta, poszło mieszczaństwo polskie w tan, a był to tan krwawy z wrogiem ojczyzny, a przygrywał tańczącym także chochoł słomiany, ułudna nadzieja, że z nimi i brać młodsza, lud polski w jednym szeregu do krwawego tanu stanie. Ale lud polski, jak ów Jasiek w Weselu Wyspiańskiego zagubił w r. 1863 ów złoty róg, na którego

„rycerny głos,
spotężni się Duch,
podejmie Los."

Na długo jeszcze przed wybuchem powstania rząd rosyjski widząc wzbierający w Królestwie prąd rewolucyjny w sferach szlacheckich i mieszczańskich, starał się już naprzód zyskać sobie sprzymierzeńca w ludzie polskim, którego przeciwko szlachcie podstępnie podszczuwał.

Już w r. 1861 Muchanow, ówczesny minister wyznań oświaty i spraw wewnętrznych Królestwa Polskiego, rozesłał cyrkularz do naczelników powiatowych i sołtysów wiejskich, aby powiadamiali chłopów, iż „rząd starając się szczególnie o ich dobro, oczekuje, że oni nietylko nie będą słuchali poduszczeń do „nieporządków", ale nawet każdego burzyciela będą zatrzymywali i odstawiali do najbliższej władzy".

Było to wyraźnem podszczuwaniem chłopów przeciwko dworowi.

*) Chodzi tu o lud polski w Królestwie. W Księstwie, gdzie oświata ludu była bez porównania wyższa, ludność włościańska, gdzie mogła, pomagała powstańcom, a niejeden z naszych dzielnych Bartków i Wojtków szedł walczyć z Moskalem za sprawę narodową. Lud wielkopolski zresztą już r. 1848 krwią obficie przelewaną stwierdził i przypieczętował swój patryotyzm polski. — Przyp. Redakcyi.



Pałac Wielopolskich w Krakowie.



Nowa klatka wchodowa w pałacu Wielopolskich w Krakowie

Patrz: „Nasze ryciny".

Wprawdzie wieść o tym okólniku takie przeciw Muchanowowi wzbudziła oburzenie, że rząd musiał odwołać go z zajmowanego przezeń stanowiska; moralnego zła jednak, jakie ów cyrkularz sprawił, nie można już było naprawić. — Ziarna nieufności przeciw szlachcie były już w sercach ludu posiane, a zarazem przeświadczenie, że „cysorz" chce dobra ludu i tylko szlachcie, pragnącej krzywdy ludu, jest wrogiem.

Zwłaszcza na Rusi i na Litwie rząd propagował systematyczne podżeganie ludu przeciw szlachcie.

W maju umarł poeta ruski Taras Szewczenko. Pochowano go w pobliżu Kaniowa na prawym brzegu Dniepru i staro-słowiańskim zwyczajem usypano mu wysoką mogiłę, czyli kurhan.

Otóż fałszywi agenci rządowi rozpuścili między ludem fałszywą pogłoskę, że w tej mogile nie ma ciała Szewczenki, tylko są noże, które we właściwym czasie rozdane będą ludowi, by wyrznął szlachtę.

Chłopi na Rusi burzyli się przeciw swym chlebodawcom, a w razach ukarania odgrażali się też szlachcie, że niedługo już potrwa ich panowanie i przewodzenie nad ludem, który potrafi wymierzyć sobie nad panami krwawą sprawiedliwość.

Do większego jeszcze wzburzenia ludu przyczyniło się pojawienie się na niebie komety w końcu czerwca tegoż roku. Zabobonni chłopi wzięli to za omen, za znak dany im z nieba, że nadszedł czas zguby dla panów, a wywyższenia ludu.

Na Litwie jenerał-gubernator wileński Nazimow, objeżdżając w lipcu Grodzieńskie, wszędzie po miastach i na stacyach, na których się zatrzymywał, kazał zwoływać okolicznych chłopów i przemawiał do nich, podburzając ich przeciw szlachcie. Mówił im, że „panowanie rosyjskie uwolniło chłopów z pod jarzma gnębiącej ich szlachty, że powinni być wdzięczni carowi, że chce ich udarować wolnością, a szlachta śpiewając pieśni, nie prosi „ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie", lecz „pańszczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie".

Skutek tych podburzających przemówień okazał się natychmiast, bo chłopi w wielu miejscowościach nie chcieli wykonywać robót polnych. Wtedy Nazimow, gdy szlachta do niego się odwoływała, siłą uśmierzał te bunty chłopskie, a ten przewrotny, podstępny, niekonsekwentny sposób postępowania miał się zemścić nie na jego sprawcy i nie na rządzie, który się do takiej perfidyi poniżał, ale na nieszczęsnej Polsce, rozdwajając dzieci wspólnej matki, by razem nie stanęły w jej obronie.

W końcu r. 1861-go naczelnicy okręgowi na Podlasiu otrzymali od tamtejszego gubernatora cyrkularz, w którym im zalecał, by szczególniejszą uwagę zwrócili na stosunek zachodzący między właścicielami ziemskimi a poddanymi im włościanami i aby pilnie przestrzegali, by nie przyszło do wzajemnego porozumienia i zbratania się ziemian z ludem. Owszem, należy ustawicznie przypominać to włościanom, że jedynie car myśli o polepszeniu bytu kmiotków.

Rząd poprzednio już nakazał ogólne rozbrojenie ludności; — rozbrojenie to przeprowadzały władze w ten sposób, że zabierano broń tylko szlachcie po dworach, znajdowaną zaś po chałupach broń pozostawiano włościanom.

Naprożno starała się szlachta i duchowieństwo pozyskać lud dla sprawy narodowej.

Dnia 8-go września w Częstochowie, w uroczystość Narodzenia Najśw. Maryi Panny, odbyło się uroczyste nabożeństwo za uciśnioną ojczyznę. Napływ pątników był ogromny. Po nabożeństwie odbyła się w refektarzu „uczta braterska", na którą zaproszono obecnych na odpuście chłopów. Ci jedli i pili z ochotą, ale mówili między sobą, że „szlachta nie o Polskę, ale o pańszczyznę się modli".

Na nabożeństwie zaś na Łysej Górze w Sandomierskiem, w benedyktyńskim kościele św. Krzyża kaznodzieja, kończąc patryotyczne kazanie, zażądał od obecnych na nabożeństwie chłopów, by w świątyni pańskiej poprzysięgli, że bić się będą do ostatniej kropli krwi za ojczyznę. Zawezwał ich, by na znak zgody każdy z obecnych chłopów podniósł prawą rękę do góry. Po tych słowach księdza na chwilę głucha cisza zaległa świątynię, poczem ozwał się z tłumu donośny głos: „niech żaden ręki nie podnosi", a na to chłopi tłumnie kościół opuścili.

Zdarzenie to powinno przestrzedz tych, którzy na pomoc kmiotka w przyszłem powstaniu przeciw Rosyi liczyli, że liczenie to jest tylko złudą, że nieprzezwyciężony mur niechęci odgradza „Polskę siermiężną" od „Polski szlacheckiej".

Złudny jednak świt wolności, jaki się zdawał na horyzoncie politycznym rozpalać, oślepiał zaciągnięte moralnem bielmem oczy ówczesnych działaczy, niewidzących jasno stanu rzeczy.

Na odbytej po nabożeństwie naradzie postanowiono tylko, by duchowni z ambon lud do zbrojnego powstania zachęcali i sądzono, że tym sposobem lud da się dla ruchu rewolucyjnego pozyskać.

Niedługo potem dnia 5-go października umarł w Warszawie arcybiskup Fijałkowski, gorący patryota, a naród uważając go niejako za wicekróla Polski, uczcił go iście królewskim pogrzebem, w którym przeszło 100 000 osób uczestniczyło. Między uczestnikami pogrzebu znajdowali się także włościanie.

Po pogrzebie szlachta zaprosiła włościan na wspólny obiad do sali Hotelu Europejskiego, gdzie chłopów ugaszczano i fetowano, co się zowie.

Chłopi tak samo, jak na owym odpuście w Częstochowie, jedli i pili z ocho-

tą, lecz pod koniec obiadu powstał pewien stary kmieć z Łowickiego i w te ozwał się słowa:

„Teraz panowie jesteśta z nami w zgodzie, ale jak przyjdzie do czego, to tak jak w rewolucyą, rzucita nas na zeżarcie Moskalowi.“

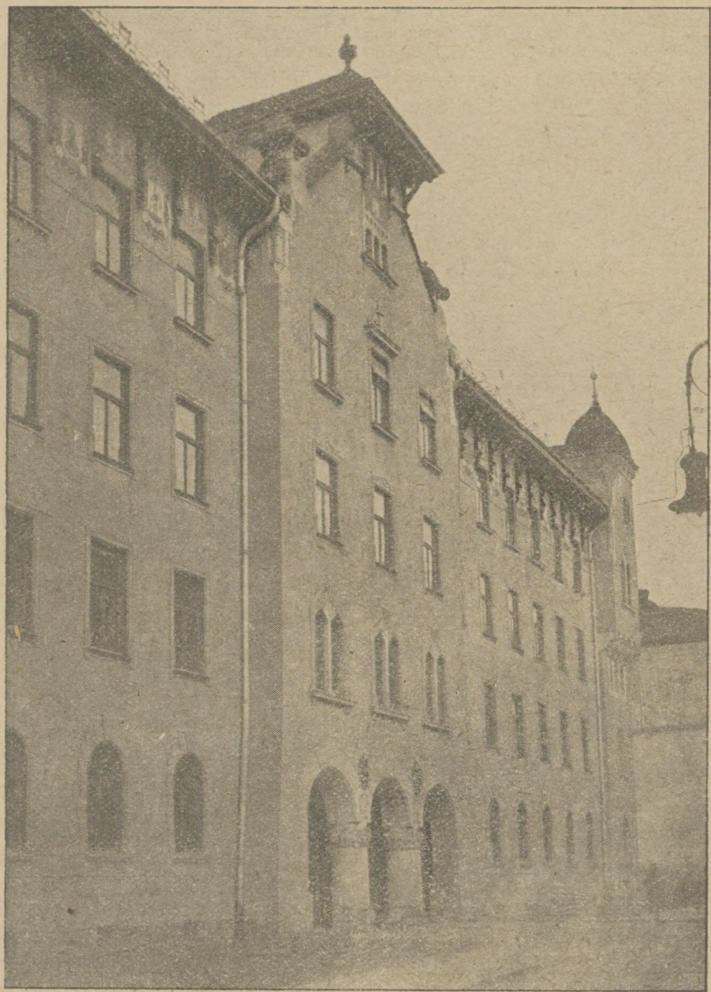
I te słowa nie otrzeźwiły upojonych haszyszem pragnienia wolności umysłów.

Odwieziono uroczyście chłopów na kolej, wsadzono ich do umajonych zielenią wagonów. Gdy pociąg miał ruszyć, tłum stojący na peronie, rzucił się na kolana i jednogłośnie zabrzmiał płynący z tysiąców piersi śpiew: „Boże coś Polskę“.

Wszystkie stacye, przez które chłopi przejeżdżali, były aż do Skierniewic w czasie ich przejazdu iluminowane. Chłopi jednak przyjmowali to dość obojętnie. Zasiane przez rząd rosyjski kąkole nieufności do własnych rodaków, przytłumiały w sercach ich poczucie wspólności narodowej. Skutki tego miały się niebawem okazać.

Już w pierwszych dniach wybuchu powstania w okolicy Krasnostawu chłopi urządzali istne łowy na powstańców i pochwytanych odstawiali do władzy powiatowej.

W Częstochowie chłopi chcieli zabić własnego proboszcza, ks. Szydoczyńskiego za to, że ich namawiał do powstania. Uratował księdza miejscowy obywatel ziemski Darewski, ukrywszy go we dworze. Chłopi dowiedziawszy się o tem, napadli na dwór, a związawszy prócz księdza także pisarza prowentowego, gorzelanego, młynarza, guwernera i kilku oficyalistów, którzy ruchowi powstańczemu przychylni byli, zawieźli ich wszystkich do Lublina i wydali tam w ręce władz rządowych.



Nowy gmach magistratu w Krakowie.
(Patrz: „Nasze ryciny“.)

Codziennie nieomal zachodziły takie wypadki w różnych dzielnicach Królestwa.

Z największą jednak zaciętością ścigał powstańców lud w pasie nadgranicznym, przytykającym do terytoryum austryackiego, gdzie w umysłach chłopskich żyło jeszcze wspomnienie krwawej rzezi galicyjskiej.

Chłopi ze wsi Smarzowice w Miechowskiem po wymaszerowaniu oddziału powstańczego pod wodzą Kurowskiego z Ojcowa, napadli na tę miejscowość, zrabowali domy, podobijali w okrutny sposób pozostawionych w Ojcowie rannych, a pochwytanych powstańców wydali w ręce Moskali.

W Białostockiem dowódzca rosyjski Maniukin podburzał jawnie lud, rozpowiadając, „że imperator lasy powycinać, a szlachtę powyrzynać kazał“. Maniukin płacił też chłopom nagrody, za każdego w ręce jego odstawionego powstańca. Inni dowódzcy rosyjscy tak samo postępowali.

W Inflantach lud stanął z bronią w ręku przeciw własnym rodakom i rzucił się na rabunek dworów.

Na Podolu najwięcej lud polski przyczynił się do prędkiego stłumienia ruchu powstańczego.

Na Ukrainie we wsi Sołowiówce chłopi rzucili się na garstkę młodzieży uniwersyteckiej, chodzącej od wsi do wsi z tak zwaną „Złotą hramotą“, t. j. mieli przy sobie broń palną nabitą, którą łatwo obronić się mogli napastnikom, lecz szlachetni młodzieńcy zamiast się bronić, złożyli broń przed chłopami, mówiąc:

„Nie chcemy was zabijać, bo jesteście naszymi braćmi, wolimy zginąć z rąk waszych, niż krwią bratnią ręce swe splamić“.

Chłopi wymordowali też niebroniącą się im młodzież. Ocalał jedynie niejakiś Jurjiewicz, który strasznie pokaleczony, nie dawał już znaku życia. Później jednak przyszedł do siebie i uwięziony, uciekł podkopem z fortecy kijowskiej, lecz w kilka lat potem umarł w Paryżu, skutkiem ran, otrzymanych w Sołowiówce.

Niepodobieństwem byłoby pisać tu o wszystkich podobnych, poszczególnych wypadkach. Słowem z małemi wyjątkami lud pod całym zaborem rosyjskim nieprzychylnym był powstaniu, „kajsiś zabył złoty róg“, — „ostał mu się ino sznur“, — którym powstańców wiązał i przystrajał nimi drzewa przydrożne, lub odstawiał ich w ręce wroga.

Wina jednak za to wszystko nie na ciemny, obałamucony lud spada, tylko na rząd rosyjski, który z niesłychaną perfidyą, potrafił ów lud przeciw własnym podburzyć rodakom. — Tkwił w tem także jakoby wyższy, nieubłagany wymiar sprawiedliwości dziejowej za odwieczne krzywdy, jakich kmiotek doznawał.

A jednak jeżeli komu, to właśnie ludowi przyniosło powstanie olbrzymią, wiekopomną korzyść, — *uwłaszczenie*, — które kmiotka z wiekowej niedoli i niewoli wybawiło, — które mu podwaliny bytu ekonomicznego zapewniło, — a które bez wybuchu powstania nie byłoby przyszło do skutku.

Dziś należą opisane wyżej stosunki wobec oświaty i uświadomienia narodowego ludu do bezpowrotnej przeszłości, do historyi, która jest mistrzynią ludów i z której naukę czerpać można, że tylko w solidarności, w jedności działania i zgodzie wszystkich stanów leży moc i potęga każdego narodu.

Stefania Tuchołkowa.

Panuj nad sobą, bo nikt nie może przewodzić drugim, kto panem samego siebie być nie potrafi.

Jubileusz kapłana-działacza.

W tych dniach obchodzono w Warszawie ćwierćwiekowy jubileusz kapłaństwa ks. prałata Marcelego Godlewskiego, znanego pisarza i działacza społecznego, twórcy stowarzyszeń robotników chrześcijańskich, rozsianych po całem Królestwie Polskiem. Kto zna choć w przybliżeniu stosunki polityczne Królestwa, to wie, jakiego poświęcenia i umiłowania sprawy trzeba tam, by nie cofnąć się przed tylu przeszkodami.



Ks. prałat Marceli Godlewski.

— Taki hart ducha wykazał ks. M. Godlewski. — 25 lat kapłaństwa to ćwierćwiecze szerokiej i szlachetnej działalności pod prześladowaniem ze strony carskiego rządu a nawet — niestety — pewnej części społeczeństwa polskiego, wrogiego Kościołowi i naszym duszpasterzom.

Jubileusz odbył się z wielką uroczystością, w czem znalazło wyraz uznanie, jakiem w szerokich sferach społeczeństwa cieszy się działalność kapłańska i społeczna Jubilata.

Po uroczystem nabożeństwie w kościele św. Marcina odbyła się popołudniu w „Domu ludowym“ uroczysta akademia, na którą przybył biskup ks. K. Ruszkiewicz, a wieczorem odbyła się tamże wieczerza, w czasie której przemawiali: ks. kanonik Zygmunt Chełmicki, ks. Albrecht, patron Stow. chrześć. robotników w Łodzi, redaktor Sadzewicz, Franciszek Nowodworski, mecenas K. J. Jasiński, p. Skrzynecki i w. i.

W końcu zabrał głos jubilat, twierdząc z wrodzoną sobie skromnością, że bez pomocy ludzi dobrej woli nicby uczynić nie zdołał, im więc, nie jemu uznanie się należy.

U dobrej gospodyni
Zawsze pełno jest w skrzyni.

* * *

Wszystko w domu tym błądzi,
Gdzie kądziel mieczem rządzi.

Z naszych spraw.

Rada narodowa.

Komisya, obradująca nad projektem Rady narodowej, złożona z Kół poselskich, parlamentarnego i sejmowego, do której należeli posłowie: ks. Radziwiłł, Trąmpczyński, Dombek i hr. Mielżyński, a jako zastępcy ks. Kurzawski, dr. Mizerski, dr. Łaszewski, Władysław Seyda i Korfanty, ukończyła swą pracę. Rozpatrzyła ona przedłożony Kołom projekt ustaw Rady narodowej i zaproponuje Kołom przyjęcie następującego projektu:

1. Rada narodowa ma czuwać nad ogółem interesów narodowych. Czynność jej ma być tylko doradczą, zawiaduje funduszem, zbieranym na cele obrony narodowej.

2. Rada narodowa ma składać się ze wszystkich członków Centralnego Komitetu Wyborczego, powtóre z 9 delegatów Kół poselskich i to: 2 członków izby panów, 3 członków izby deputowanych i 4 członków parlamentu. Prezes Rady narodowej może być obieranym z poza koła Rady narodowej. Rada narodowa ma prawo powoływać znawców z głosem doradczym. W łonie Rady narodowej będą istnieć dwa oddziały, kulturalny i gospodarczy, sprawy polityczne zaś załatwiać ma plenum Rady narodowej.

* * *

Petycya Zjednoczenia Zawodowego Polskiego w parlamencie niemieckim.

Dnia 15 listopada roku 1912 Zjednoczenie Zawodowe Polskie wysłało do parlamentu niemieckiego petycyę, w której żądano:

1. zaprowadzenia 8-godzinnego dnia roboczego w hutach, walcowniach i werkach żelaza; 2. zakazu nocnej pracy robotników młodocianych w przemyśle powyższym ze względu na niebezpieczeństwo zdrowotne i moralne; 3. zupełnego zakazu pracy z tej samej przyczyny; 4. stworzenia rady zdrowotnej dla wielkiego przemysłu żelaznego. Rada ta miała się składać z zastępców rządu, spółek zawodowych, organizacyi pracodawców i pracobiorców; 5. uregulowania pracy robotników szczególnie pracy akordowej; 6. połączenia wszystkich kas pensyjnych hutniczych w jedną wielką kasę na wzór knapszaftów górniczych.

W piątek dnia 7 lutego komisya petycyjna parlamentu zajmowała się żądaniami polskich robotników. Z Polaków zasiadali w tej komisyi posłowie ks. Pospiech i Wojciech Sosiński. Poseł Sosiński uzasadniał petycyę przykładami z Górnego Śląska.

Po wyczerpującej dyskusyi komisya uchwaliła sprawę płacy robotników przekazać kanclerzowi do uwzględnienia a w sprawie połączenia hutniczych kas pensyjnych zaleciła kanclerzowi, aby się nad nią zastanowił.



Sala Rady miejskiej w pałacu Wielopolskich w Krakowie.
Patrz „Nasze ryciny“.

Złamanie solidarności.

Koło polskie w parlamencie zajmowało się świeżo sprawą zerwania solidarności przez posła Czarlińskiego, Nowickiego i Sosińskiego, jakiej się dopuścili dnia 31-go z. m. podczas głosowania nad wnioskiem Ablassa. (Patrz artykuł: „Gdzie solidarność?!“ zamieszczony w zeszłym zeszycie „Pracy“, na stronie 174-tej i 175-tej). Po wszechstronnem omówieniu sprawy załatwiono ją we właściwy sposób. (Mianowicie jak? Przyp. Red.)

Jak wiadomo sprawa ta omawianą była w ostatnim czasie także w osobnej komisyi sejmu pruskiego, atoli komisya uchwaliła przejść do porządku dziennego nad żądaniem ośmiogodzinnej szychty (Patrz „Z naszych spraw“ w zeszłym numerze „Pracy“ na stronie 170.)

* * *

Naganka na Towarzystwa.

Ze wszystkich stron donoszą, że władze policyjne dopuszczają się nadużyć wobec Towarzystw i zebrań osób zaproszonych, żądając rozpraw w języku niemieckim. Wynika ztąd, że dzieje się to wedle planu z góry ułożonego, aby w roku wywłaszczenia zakneblować nam równocześnie usta. Sprawa rozstrzygnie

się w sądzie, ale tymczasem owe Towarzystwa skazane są na bezczynność, a „ciętym" urzędnikom policyi nawet włos z głowy nie spadnie, dopóki nie będzie prawa, gdy urzędnik własną skórą i kieszenią odpowiadać będzie musiał za nadużycia swej władzy.

* * *

Nowy nabytek komisyi kolonizacyjnej.

W powiecie mogileńskim wykupiła komisya kolonizacyjna Czarnotul, Goryszewo i Kawkę od Niemców. Należy dodać, że sprzedaże takie nie są bynajmniej obojętne dla naszego stanu posiadania. Wprawdzie sprzedaż komisyi z rąk polskich — dziś, na szczęście, coraz rzadsza — jest wielką klęską, ale nabycie przez nią dóbr od Niemca również przynosi uszczerbek naszemu stanowi posiadania. Ziemia taka nietylko już nigdy w ręce polskie nie przejdzie, lecz nabycie obszaru dworskiego przez komisyę odbija się rychło na włościanach polskich, których szykanuje się dopóty, dopóki nie opuszczą wsi. Miejsce ich zajmują Niemcy, co w połączeniu z kolonistami na rozparcelowanym obszarze dworskim wytwarza silną placówkę hakatyzmu i odbija się na sąsiednich miasteczkach, na kupcach i przemysłowcach polskich, bojkotowanych przez klientelę niemiecką.

* * *

Nowa organizacya.

Powstały na Kujawach Towarzystwa pod nazwą „Samopomoc ludu polskiego". Organizacya ta pokryła już siecią kółek cały prawie powiat wągrowiecki, a niebawem posunie działalność swoją także do sąsiednich powiatów: żnińskiego, szubińskiego i chodzieskiego.

Cel nowej organizacyi tak ustawy określają:

1. uczyć lud historyi, literatury i śpiewu oraz praw i obowiązków obywatelskich w stosunku społeczeństwa polskiego do państwa niemieckiego.

2. zbierać statystykę ludności, zarobkowania i egzystencyi.

3. czynnie popierać handel i przemysł polski.

4. szerzyć zdrowy krytycyzm wobec publicznej pracy polskiej.

5. budzić zaufanie i wiarę w siły ludu polskiego i oparcie pracy na tej sile.

Jak z powyższego widzimy, nowa organizacya ma na celu głównie pracę kulturalno oświatową. Przy tem jednakże nie wyrzeka się działalności politycznej, ale tylko o tyle, o ile koniecznie będzie potrzebna.

Ciekawą w nowej organizacyi jest mianowicie ta okoliczność, że praca w niej nie opiera się na kilku kierujących jednostkach, lecz na szerokiem kole działaczy z ludu wychodzących, którzy mają ochotę sami się kształcić i w szerzeniu oświaty pomagać. I przyznać trzeba, że takich ludzi, pełnych zapału i bardzo światłych, znalazła się spora liczba.

* * *

Upewnienie ziemi na kresach wschodnich.

Pod takim nagłówkiem rozsyła hakatystyczne biuro sprawozdanie niemieckiej kasy dla stanu średniego za rok 1912. W roku tym kasa dla stanu średniego „uregulowała" przeszło 1000 gospodarstw chłopskich, a mianowicie 1075; w 1911 roku 915; w 1910 r. 665. Ogółem uregulowano dotychczas 4285 gospodarstw, ogólnego obszaru 290000 morgów. „Uregulowani chłopi oszczędzili (?) rocznie 630000 marek procentu. Hakatyści wypowiadają nadzieję, że dla tych korzyści niejeden chłop polski każe sobie także uregulować swój stan hipoteczny. Niemieckie spółki wiejskie za takich interesentów biorą gwarancyę co do płacenia rent oraz podejmują się ich ściągania. W tym kierunku działa 275 spółek.

Trzeba dodać, że kogo ureguluje „Mittelstandskassa", ten traci prawo do wolnego rozporządzania własnością, bo kasa zapisuje sobie prawo pierwokupu, zatem znaczy, że chłop polski, który się odda w ręce tej kasy, oddaje się w ręce niemieckie.

Niemiecka kasa dla stanu średniego reguluje także od 1908 roku wielką własność. Czynność ta objęła 54 wielkie majątki, obszaru 140000 morgów. Ogółem więc kasa dla stanu średniego w W. Księstwie Poznańskiem „uregulowała" 430000 morgów. Kasa ta zajmuje się także pośrednictwem przy sprzedaży. W ten sposób wystarała się o niemieckich nabywców w 141 wypadkach. Oszczędziła ona wiele kosztów, stempli i innych opłat W roku 1911 pośredniczyła w 84 wypadkach. Razem przez jej pośrednictwo Niemcy nabyli 940000 morgów.

Od 1 kwietnia 1911 r. kasa dla stanu średniego pracuje ręka w rękę z niemieckiemi spółkami dla tworzenia małych osad w W. Księstwie Poznańskiem. Spółek takich jest 30, które sprzedają drobne parcele robotnikom oraz udzielają im pożyczek. W roku 1912 udzielono pożyczek 75 gospodarstwom, 1911 zaś 58. Ogółem 133 gospodarstwom, a kapitał rentowy wypożyczony wynosił 630 tys. marek. Pożyczki udzielane są w gotówce.

Kasa niemiecka dla stanu średniego zatrudnia obecnie 70 urzędników. Zakres jej działalności zwiększa się z roku na rok.

Dodajemy, że t. z. upewnienie własności niemieckiej, które uprawia się już od lat kilku w W. Ks. Poznańskiem i w Prusach Zachodnich, ma być mocą ustawy z dnia 26 czerwca 1912 r. rozszerzone także na prowincye Śląsk, Prusy Wschodnie i Brandenburgię.

* * *

Towarzystwo demokratyczno-narodowe.

Rada główna dokonała świeżo wyboru nowego zarządu, w skład którego wchodzą pp.: Bernard Chrzanowski, Stefan Chociszewski, dr. Władysław Mieczkowski, Karol Rzepecki i dr. Maryan Seyda. Między innemi sprawami omawiano też zerwanie solidarności w Kole parlamentarnem. Wszyscy mówcy stanęli na podstawie solidarności Koła.

* * *

Uratowanie dóbr baranowskich.

Donosiliśmy w ostatnim czasie, że olbrzymie dobra baranowskie nad Wisłą w Galicyi, własność p. Stanisława Dolańskiego, obejmujące 4000 morgów ziemi uprawnej, dwie gorzelnie i cegielnię, na których ciąży dług w kwocie 2 750 000 koron, nabyło konsorcyum żydów węgierskich z Pesztu wraz ze słynnym, znakomicie zachowanym zamkiem, niegdyś rezydencyą Leszczyńskich i Lubomirskich. Wiadomość ta okazała się na szczęście mylną i, jak słychać, pertraktuje o nabycie dóbr tych Adam hr. Stadnicki z Nowojowej. O nabycie dóbr baranowskich pertraktował przed żydami z Pesztu między innymi także arcyksiążę Karol Stefan z Żywca.

Na widowni.

W chwili, gdy na wschodzie Europy rej wodzą furye wojenne, nadchodzi ze stolicy Badenii wiadomość sielankowa o zaręczynach córki cesarza niemieckiego Wiktoryi Ludwiki z księciem kumberlandzkim Ernestem Augustem.

Gdybyśmy nie żyli w czasach w których romantyzm jest przeżytkiem, możnaby pomyśleć o Montechich i Capuletich, bo mniej więcej taki sam nieprzyjacielski stosunek panuje pomiędzy rodzinami obojga narzeczonych. A przecież nie ulega wątpliwości, że tutaj odgrywały wcale nie podręczną rolę względy polityczne, że projektowane małżeństwo ma oznaczać kompromis pomiędzy Hohenzollernami a Welfami.

Dziad narzeczonego, król hanowerski, został w r. 1866 pozbawiony tronu przez Hohenzollerna, syn zdetronizowanego miał przysięgać ojcu, że nigdy nie wyrzecze się praw do korony; mimo to ma wnuk wkrótce stanąć na ślubnym kobiercu z córką Hohenzollernów.

W r. 1870 organizował zdetronizowany monarcha hanowerski oddział ochotników, który miał walczyć po stronie francuskiej przeciw Prusakom; w r. 1906 syn jego wyrzekł się korony brunświckiej, ponieważ nie chciał zrzygnować z praw do tronu hanowerskiego.

Bez wątpienia, że maryaż ten ma doniosłe znaczenie polityczne nie tylko dla wewnętrznych stosunków Niemiec, ale także dla zewnętrznych, zwłaszcza stosunku Anglii do Niemiec nie pozostanie on bez następstw, ponieważ Welfowie złączeni są węzłami pokrewieństwa z panującą rodziną królewską w Anglii.

Jak się ukształtuje stosunek Kumberlandów do Prus, dziś jeszcze nie wiadoma. Dzienniki niemieckie twierdzą, że sprawa ta nie została jeszcze załatwiona, co wszakże jest nieprawdopodobnem, gdyż przypuszczać należy, iż przed zaręczynami wszystkie przeszkody zostały usunięte. Twierdzi się atoli, że o tym zamiarze księcia Ernesta nie wiedzieli do ostatniej chwili zwolennicy dynastyi Welfów w Hanowe-

rze, gdyż na zapytywania wystosowane do ich przewódców przez przedstawicieli prasy, co się stanie z ich stronnictwem, nie umieli dać odpowiedzi, a przedstawicielowi polskiego biura telegraficznego W. A. T. odpowiedział jeden z wybitnych Welfów, że jeszcze przed niespełna dwoma tygodniami zapewniał go książę Ernest, iż ani on ani jego ojciec nie myślą zrezygnować z praw do tronu.

W jaki sposób zatarg zostanie załatwiony, o tem się wkrótce dowiemy.

Uwaga świata politycznego wciąż skupia się na Bałkanie.

Od kilku dni nadchodziły wiadomości o Bułgarach niepomyślne. Turcy rzekomo na całej linii przeszli do zaczepki i kiedy dawniej nadchodziły wieści o ciągłym postępie wojsk bułgarskich i cofaniu się Turków, dziś przeciwnie nadchodzą telegramy o samych zwycięstwach tureckich. Wiadomościom tureckim przecież nikt nie wierzy, to też dotychczas z niedowierzaniem je przyjmowano. Dopiero w połowie bieżącego tygodnia odezwano się ze strony bułgarskiej i sytuacyę wyjaśniono.

Nie przedstawia się ona wprawdzie dla Bułgarów niekorzystnie, wszakże dużo daje do myślenia szczegół, który przyznają Bułgarzy sami, że Turcy występują zaczepnie. Widoczne więc, że w Turków wstąpił nowy duch i że podczas rokowań pokojowych zdołali zgromadzić znaczne zastępy wojska. Nie może być atoli mowy o tem, aby spodziewany wynik wojny był zakwestyonowany. Takich sił dziś już Turcy nie posiadają, ażeby mogli marzyć o odebraniu ziem, które stracili. W najlepszym razie może wojna się przedłużyć, a wynik ostateczny będzie taki, iż Turcya pozbawi się sił wszystkich i że nastąpi zupełny upadek i rozkład państwa. Zdaje się, że o tem wiedzą Turcy sami, bo każdy dzień przynosi wiadomości o krokach rządu tureckiego podjętych w celu przywrócenia pokoju.

Na tę ostateczną katastrofę państwa tureckiego, opartego na podboju innych narodów, przygotowane są mocarstwa i mniej one interesują się przebiegiem wojny, jak tem, co ma nastąpić po wojnie.

Próbą porozumienia się co do uregulowania stosunków bałkańskich był list wysłany przez cesarza austryackiego do cara. Jeżeli wierzyć można doniesieniom gazet, próba porozumienia się dwóch najbardziej sprawą bałkańską interesowanych państw spełzła na niczem.

Wiadomość, że ks. Hohenlohe wrócił z Petersburga bez osiągnięcia sukcesu, była bodaj czy nie najważniejszym wypadkiem tygodnia.

Po jego przyjeździe obwieściły gazety austryackie, że ani Austrya, ani Rosya demobilizować nie będą. Jedna z gazet wiedeńskich, utrzymująca stosunki z rządem, napisała, że Rosya żąda, aby Austrya nie dawała żadnych ustępstw Rusinom, ponieważ to ośmiela Rusinów rosyjskich, dalej, że Rosya żąda takiego uregulowania stosunków bałkańskich, na które Austrya nigdy się nie zgodzi.

Bądź jak bądź, jeżeli misya ks. Hohenlohego się nie powiodła, to nie powiódł się krok ostatni Austryi, który uczyniła dla zachowania pokoju.

Dla pokoju europejskiego nie jest to wróżbą pomyślną.

Ważną też wiadomością, nadeszłą w bieżącym tygodniu, było doniesienie pism angielskich, że w Trypolisie ludność arabska podniosła bunt przeciw panowaniu Włochów. Ważnem to jest z tego, że walki w Trypolisie odciągną Włochy od wypadków bałkańskich i w jeszcze gorszem położeniu postawią trójprzymierze.

W politycznej kronice tygodniowej należy także zapisać wypadki, których widownią była stolica Japonii.

Ludność stolicy zaprotestowała przeciw polityce wojskowej rządu i rząd musiał ustąpić.

Charakterystycznym i zarazem upokarzającym był dla Rosyi fakt, że tłum na dalekim Wschodzie w Azyi wołał na ulicach Tokia: Japonia nie Rosya... W Japonii rządzić despotycznie nie wolno! Do tego więc już doszło, że w Azyi uważają Rosyę za państwo, w którem panuje reakcya i despotyzm, niemożliwy w Azyi.

Wszakże nietylko w Rosyi samej ignoruje się wolę większości narodu...

Podobizny dworów polskich w W. Księstwie Poznańskiem.

(Ciąg dalszy.)



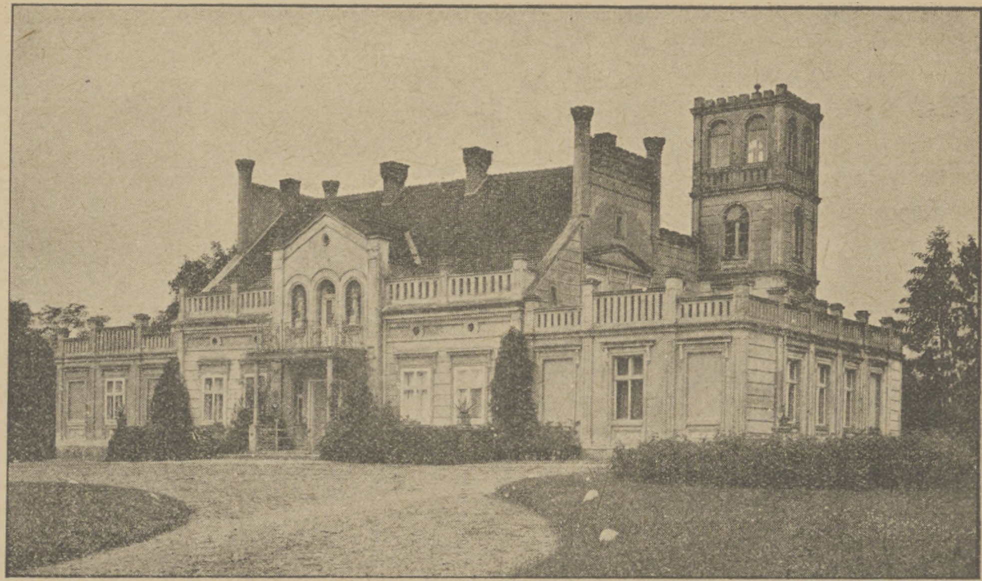
Fot. L. Durczykiewicz w Czempiniu.

Małe Krzycko.

Zamieszczamy w dalszym ciągu dwie podobizny dworów, które są pomniejszonemi reprodukcyami wspaniałych ilustracyj umieszczonych w luksusowem dziele p. L .Durczykiewicza z Czempinia p. t. „Dwory Polskie w Wielkiem Księstwie Poznańskiem.“ Nakładem p .L. Durczykiewicza, czcionkami drukarni „Pracy“.

Małe Krzycko, powiat wschowski, własność hrabiego Antoniego Rzyszczewskiego, porucznika do dyspoz. 4-go pułku dragonów armii włoskiej. — Dzisiejszy dom mieszkalny, w stylu willi pobudowany około roku 1855 przez ówczesnego właściciela majątku dra Engera. Hrabia Michał Rzyszczewski odnalazł na ścianie starego domu w Wielkiem Krzycku wmurowany herb rodziny Krzyckich, „Kotwicz“ w aliansie z herbem Wieniawa. Kazał go wyjąć, przenieść do Małego Krzycka i umieścić na domie dzisiejszym, gdzie po dziś dzień się

znajduje. Na miejscu teraźniejszego domu stał dawniej, zdaje się, rodzaj dworku. Założenie jednak na sztucznej wysepce, otoczonej szerokim i głębokim kanałem, łączącym się z krzyckiem jeziorem, o wiele dawniejszej jest daty, i sięga zdaje się, jeszcze czasów właścicieli Krzyckich. W bibliotece teraźniejszego właściciela znajduje się dawna karta majątku z planem zabudowań z roku 1826. Już na tej karcie widzimy dom mieszkalny na wspaniałej wysepce. Przystęp do domu przez jeden tylko był most. Dawniejszy kanał, otoczony po obu brzegach staremi drzewami, z biegiem lat niestety zupełnie zamulony, przez obecnego właściciela został po większej części zasypany, a brzegi strome zamienione na skalisty ogród. — Dworu większego czy pałacu w Krzycku nigdy nie było. — Majętność Małe Krzycko przeszła na własność rodziny hrabiów Rzyszczewskcih w roku 1875. Kupił ją od hrabiego Grudzińskiego hrabia Michał Rzyszczewski, kapitan sztabu jenerał. wojsk włoskich i kawaler wielu orderów, zaślubiwszy w roku 1874 księżniczkę Eugenię Radziwiłłównę, siostrę księcia Antoniego Radziwiłła, jenerała wojsk pruskich. — Krótko tylko hrabia Michał i żona jego cieszyli się tem posiadaniem, bo już 4 lata później w roku 1879, zabrała śmierć hrabinę Eugenię a w 1 i pół roku po żonie umarł hrabia Michał — w Krzycku, gdzie też pochowani są we wspólnym grobie, w krypcie kościoła miejscowego. W Krzycku urodziły się obie siostry obecnego właściciela, hrabianki Ewa i Eugenia. Bardzo skromny, ale wiekiem czcigodny i bardzo typowy był wówczas kościół miejscowy, zbudowany z drzewa modrzewiowego. Kothe w dziele swem o monumentach sztuki w Poznańskiem, powiada, że kościół ów stary odnowiony został w roku 1640. Rozebrano go w 1890 r. a w 4 lata później odbyła się konsekracya nowego przez księdza Arcybiskupa Stablewskiego. Nowy kościół, w mało sympatycznym i małopięknym stylu „nowogotyckim", z czerwonej cegły, nieszczególnie się przedstawia. Powstał za inicyatywą i pod dyrekcyą miejscowego proboszcza. Ze starym kościołem znikło wiele dawnych zabytków oraz ślady pochowanych pod nim ostatnich — możnego niegdyś i wielce ojczyźnie i krajowi zasłużonego rodu — Krzyckich. W bibliotece hrabiego Rzyszczewskiego znajduje się ciekawy dokument z roku 1659 tyczący się IMci pana Macieja Krzyckiego. Również znajduje się tam piękny egzemplarz panegiryka wygłoszonego na pogrzebie



Fot L. Durczykiewicz w Czempiniu.

Żabiczyn.

Władysława z Krzycka Krzyckiego, starosty zelgniowskiego, syndyka i protektora konwentu Wschowskiego O. O. Bernardynów; egzemplarz ten herbem ozdobiony drukowany był w drukarni J. K. M. Collegium S. J. 1757 roku. W dawnym kościele znajdował się malowany na blasze stary portret, prawdopodobnie fundatora kościoła — w stroju narodowym; nie wiadoma, gdzie się podział. Było też w dawnym kościele osobliwie ciekawe epitaphium panny Krzyckiej, ostatniej z rodowych właścicieli Krzycka. W górnej części znajdował się udany portrecik miniaturowy, pod którym w złotych literach dłuższe mieściło się epithaphium. I ten zabytek z dawnego kościoła nie znalazł pomieszczenia w nowym kościele. Z pozostałości z starego kościoła wymienić należy „Babtisterium" kamienne z roku 1580 z herbami i nazwiskiem artysty: Alb. Besin, i niemieckim, wyrytym napisem: „Wem das Stück nicht gefelt, der kauft anders um sein Geld." W zakrystyi znajduje się kielich srebrny, złocony, z późniejszej epoki odrodzenia ,z roku 1642. W końcu zasługują na wzmiankę 2 dzwony gotyckie, z datami 1495 i 1499 i napisem „o rex gloriae veni cum pace." — Ród hrabiów Rzyszczewskich pochodzi z ruskiej ziemi, z Wołynia, gdzie o Mykicie Rzyszczewskim pierwszy raz w metrykach Wołyńskich roku 1510 wzmiankę znajdujemy. Hrehory Rzyszczewski okrył się sławą waleczności pod Cecorą 1620 roku i pod Chocimem 1621. Wnuk jego Łukasz Rzyszczewski, porucznik chorągwi pancernej, odznaczył się chwalebnie przy obronie Trębowli 1675 roku. W Poznańskiem osiedlili się Rzyszczewscy dopiero w roku 1875, nabywszy Małe Krzycko. Dziś archiwum rodzinne, sięgające dokumentami aż po czasy wspomnianego Mykity, znajduje się w Małem Krzycku.

Żabiczyn, powiat wągrowiecki, własność Romana Stanisława Teodora Janty Połczyńskiego herbu Bończa, posła do parlamentu niemieckiego, sekretarza Koła polskiego, Komitetu wyborczego na powiat wągrowiecki, wicepatrona Kółek rolniczych, członka Koła Naukowego Poznańskiego i Toruńskiego. — Majątek znajduje się od roku 1879 w posiadaniu obecnego właściciela, który odebrał go od ojca swego Stanisława, właściciela klucza Redgoskiego, złożonego z pięciu folwarków, do których i Żabiczyn należał. Majątek ten bywał stale wydzierżawiany. — Dom mieszkalny przebudowany został w roku 1873. Ponowne przebudowanie i równocześnie powiększenie nastąpiło w latach 1878 i 79 przez obecnego właściciela, który do istniejącego budynku dobudował nowe skrzydła, kwiaciarnię i poboczne ubikacye.

Pogadanka rolnicza.

Źle się rok zaczął dla gospodarzy, gdyż od nowa wkracza zaraza pyska i racic czyli pryszczyca, która w ubiegłych latach tyle już się dała we znaki rolnictwu.

W jednym majątku we wrzesińskim powiecie pozabijano z rozkazu rządu wszelkie bydło i oczywiście na tej drodze pewno dalej zajdziemy niż na lokalizowaniu choroby. Rolnik bowiem ponosił także wielkie straty przez różne kontrole, utrzymywanie żandarmów, sprowadzanie środków desin-

fekcyjnych, natomiast dorabiali się na tem powiatowi weterynarze, z których niejeden podobno wprost majątek na chorobie bydła zrobił. Wreszcie zarabiali ładne pieniądze i żandarmi przez dodatki do pensyj podczas choroby i różne komisye, natomiast gospodarz tracił wielkie sumy i wszelkie apelacye do rządu o zasiłki z funduszów przeznaczonych na czas nieszczęścia i plag dla rolnictwa nie znalazły w ministeryach posłuchu.

Zaraza pyska i racic polega na małych wrzodzikach i rankach na kopytach, pysku i języku bydła, trwa zazwyczaj do dwóch tygodni i choć rzadko się kończy śmiercią, to jednakże wycieńcza bydło do tego stopnia, że wydajność mleka spada do minimum i wraca dopiero bardzo powoli do normalnego stanu. Często jednakże dobre dójki dają po przejściu tej choroby tylko bardzo mało mleka i nie wracają już nigdy do dawnej wydajności. Taksamo i bydło tuczy się bardzo trudno po przejściu zarazy. Dlatego gospodarze boją się więcej pryszczycy, niż śmiertelnych chorób, gdyż śmiertelne choroby zabierają zazwyczaj tylko jednostki, tymczasem na pryszczycę choruje całe stado bez wyjątku.

Pryszczyca polega jak każda choroba epidemiczna na pracy bakteryj czyli drobnoustroji i choć te drobnoustroje są poczęści łatwe do zabicia i giną od małych dawek trucizny, to jednak dla mnogości swej są prawie do niewytępienia. Inaczej nie byłoby już cholery, ani dżumy, ani innych chorób, panoszących się tu i owdzie po różnych zakątkach świata. Zabawnem jest, że właśnie mikroorganizmy, tylko w mikroskopie widzialne i składające się z małego pęcherzyka mnożą się tak potężnie, że zdaje się nam to wprost niemożliwem. Drobnoustrój mnoży się co pół godziny przez pęknięcie na dwie połowy i oczywiście po pierwszej pół godzinie powstają z jednego żyjątka dwa, po drugiej 4, po trzeciej 8, po czwartej 16, po piątej 32, po szóstej 64, po siódmej 128, po ósmej 256, po dziewiątej 512, po dziesiątej 1024 i t. d. Po dwunastu godzinach 16 777 216, a po 24 godzinach 281 474 976 710 565 żyjątek.

Charakterystycznem przy chorobach zaraźliwych jest to, że bakterye nie na wszystkie żyjące istoty mają ten sam wpływ, że jedne zwierzęta przyprawiają o śmierć, a drugim nic nie szkodzą.

Naprzykład na czerwonkę zapadają świnie, gołębie i myszy; z świniami pokrewne morskie świnki, lub z gołębiami jako ptactwem kury nie chorują na czerwonkę. Wszelkie szczepienie czerwonki kurom lub morskim świnkom nie miało żadnych następstw. Wreszcie dziwnem jest, że jeden organizm, zakażony bakteryami epidemicznemi, cało wychodzi, drugi im ulega.

Przyczyny trzeba szukać w odporności indywidualnej i sile odpornej danych osobników. Według nowszych badań znajdują się w krwi białe kuleczki, którym nauka przyznaje możność skutecznej walki z bakteryami. One to pochłaniają czyli przerabiają bakterye, lub toczą walkę z niemi: która strona mocniejsza, wychodzi zwycięzko. Mylnie się zapatruje ten, kto sądzi, że medycyna albo weterynarya leczy. Pomoc ludzka podnęca najwyżej siły odpowiednie do walki, lub podtrzymuje siłę w chorym. Natura sama zwycięża — rozumuje słusznie lud.

Wielka część chorób zaraźliwych opanowuje przyrządy trawienia, jak przełyk, żołądek, lub kiszki. Wiemy z różnych badań, że podczas epidemii wszędzie jest pełno zarazków. Jeżeli jest cholera w kraju, każdy się styka z bakteryami cholerycznemi, każdy zachoruje... Dobrze funkcyonujący żołądek zabija własnemi sokami wszelkie zarazki choleryczne nim dojdą do kiszek, gdzie jest siedlisko tej choroby.

Zdrowy żołądek jest więc najlepszą obroną przeciw cholerze; wszelkie choć mniejsze niedomaganie żołądka sprawia pewien zastój w wydzielaniu się soków i wtenczas nie trudno o zarażenie. Z tej przyczyny w czasie choroby przestrzegają lekarze, aby nie spożywać ogórków, owoców i wszelkiej surowizny, która sprowadza rozwolnienie. W szczęśliwszych wypadkach przesuwają się żywe bakterye choleryczne razem z kałem, nie otarłszy się wcale o ściany flaków i kiszek, i wtedy człowiek unika choroby.

Źrebięta i konie chorują mianowicie u nas w Księstwie na zołzy. Zołzy są chorobą infekcyjną, nie mogą więc powstać tam, gdzie nie ma ich zarazków lub bakteryj. Nie trudno wprawdzie o zarażenie na jarmarku lub przy jakiej innej sposobności, jednakże zdarza się często, iż w jakimś odległym folwarku, do którego nie mają przystępu żadne obce konie, wybuchają zołzy.

W tych wypadkach przypisuje rolnik winę stęchłej paszy, zamoklemu sianu i t. d.

Jest to o tyle uzasadnione, iż krew się psuje przez popsutą paszę, i tem samem stwarzają się dla pasożytnych bakteryj zołzów odpowiednie warunki i pole działania: wskutek krwi zepsutej, owe kulki białe tracą swą siłę i choroba wybucha. Bakterye jednakże znajdowały się już w organizmie, może wsane z mlekiem matki, a może przeniesione mimo wszelkich przypuszczeń skądinąd.

Najskuteczniejszym środkiem przeciw zarazom są mądrze obmyślane prawa sanitarne i kulturalność ludności.

Widzieliśmy już nieraz, z jaką energią pracuje rząd przeciw przeniesieniu choroby z zagranicy. Pożądanem byłoby, aby z równą gorliwością postępował przy zarazach koni i bydła, a mianowicie trzody chlewnej. Jednakże i ludność powinna zachować ostrożność i z tym szkodliwym fatalizmem „jakoś to będzie“ chorych sztuk na jarmarki nie prowadzić, i upadłych sztuk nie zjadać i nie zakopywać tak miałko, aby je psy rozgrzebały. Dla małych zysków narażamy przez roznoszenie zarazy mienie naszych bliźnich i nasze własne na wielkie straty. Jesteśmy obowiązani w razie ukazania się epidemii wśród naszej trzody donieść o tem zaraz władzy i wykonać desinfekcyę z całą akuratnością.

Trzy sposoby desinfekcyi mamy do wyboru: desinfekcyę powietrzem suchem i gorącem, gorącą paszą i truciznami.

Suchem powietrzem desinfekuje się, zostawiając przyrządy desinfekcyjne w gorącu 160 stopni C. aż do 2 godzin. Dla trudności technicznych jest prawie niemożliwą ta desinfekcya dla rolnictwa. Parą zato może desinfekować każde gospodarstwo, posadające gorzelnię lub nawet lokomobilę. Parą desinfekuje się, puszczając ją na objekt odpowiedni przez pewien czas w ostrym prądzie. Najbardziej nadają się do tej desinfekcyi wszelkie naczynia do mleka, przyrządy do noszenia paszy, łopaty, widły, łańcuchy i wszelkie sprzęty znajdujące się w stajniach, oborach itd.

Sposób ten, tańszy od desinfekcyi za pomocą trucizn, możnaby każdemu polecić, po dziś dzień używa go się w szpitalach do desinfekcyi łóżek, materaców pościeli i t. d.

Jako trucizny do desinfekcyi używa się sublimatu, kwasu siarczanego, karbolowego i chlorku. Najsilniejszym jest sublimat, który się miesza w stosunku 1 : 1000 z wodą. Drugie trucizdy są słabsze, a przedewszystkiem kwas karbolowy, który się dobiera w stosunku 5:100 z wodą.

Gdy się ukaże epidemia w naszych budynkach lub w blizkiem sąsiedztwie, postępuje się w następujący sposób:

Chore zwierzę odłącza się od zdrowych. Wyrzuca się wszelką mierzwę od dwóch tygodni, przesypując ją gęsto wapnem niegaszonem. Potem szo-

ruje się pięcioprocentowym rozczynem kwasu karbolowego ściany, sufit, okna i żłoby oraz podłogę. Również poddaje się desinfekcyi wszelkie sprzęty ruchome i nieruchome w odnośnym budynku. Zdrowemu bydłu zadaje się, le możności paszę przegotowaną Daje to rękojmię, iż przez paszę nie wprowadzi się dalszych bakteryj zarazy.

Do obsługi chorego bydła powinni być osobni ludzie i osobne przyrządy. Trzeba zabraniać wszelkiej komunikacyi z pasterzami, lub pożyczania sobie wideł, łopat i t. d. Jeżeli w budynku są myszy i szczury, trzeba je wytruć, aby nie roznosiły zarazy. Progi budynków trzeba wysypywać grubo wapnem, aby każdy wchodzący obtarł sobie nogi. Całe staranie nasze powinno być skierowane ku zlokalzowaniu choroby, gdyż łatwiej ją umorzyć w jednem miejscu niż w kilku miejscach.

Przy przestrzeganiu tych przepisów radzimy zachować największą akuratność, graniczącą prawie z pedanteryą, gdyż przy wielkiej dokładności można prawie cudu dokazać.

Tadeusz Sobeski.

Podobizny uczestników powstania styczniowego

(Ciąg dalszy.)

Józef Wilhelmi,

ur. 1841 r. w Turowie pod Szamotułami, wyszedł z prymy gimnazyum trzemeszeńskiego do powstania razem z kolegami do obozu Mielęckiego którego ra-



Fot. Atelier „Elite", B. Nogajewski, Poznań.

Józef Wilhelmi.

niono pod Olszakiem. Następnoe udał się do zbierającego się obozu Younga, który poległ pod Brdowem, potem przeniósł się do Oborskiego i Włodka, ranionych pod Niewieżem, wreszcie udał się do Słupskiego i został ciężko rannym w lewą nogę w oddziale Calliera pod Lipicami w majątku grodzieckim. Przedtem walczył pod Mieczownicą, Nowąwsią i Brdowem. Mieszka obecnie w Ostrorogu w Poznańskiem.

* * *

Adam Tuszewski,

brał udział pod dowództwem generała Taczanowskiego; wskutek otrzymanych ran umarł w Kleczewie. Przed udaniem



Adam Tuszewski.

się do powstania napisał z Lucin pod Zaniemyślem rzewny list do rodziców, w którym się z nimi, z krewnymi i znajomymi pożegnał na zawsze, gdyż już nie wrócił do domu.

* * *



Konstanty Schneider.

Konstanty Schneider z Poznania, 17 letni młodzieniec, poległ w potyczce pod Grójeckiemi Olędrami w oddziale Jounga Blankenheim.

Z estrady i sceny.

Edmund Rostand: Romantyczni. — Koncert prof. Stanisława Barcewicza.

Głosić chwałę słynnego autora Cyrana, Orlątka, Chanteclera, — najgłośniejszego, najoryginalniejszego, lubo bynajmniej nie najlepszego jego dzieła — jest to znosić sowy do Aten. Jest to bodaj najbardziej francuski z francuskich pisarzy. Pierwszorzędny mistrz słowa, poeta — liryk, rozkochany w muzyce i nastrojach przedziwnie subtelnych, balladowych rytmów, wytworny wskrzesiciel przebrzmiałych czasów — i w „Romantycznych", będących jednem z najwcześniejszych jego dzieł, czaruje przedewszystkiem urokiem poezyi, której dziwnie mamiąca atmosfera przepaja i prześwietla tę lekką, stylową, subtelną mgłą ironii i krasą niezrównanego, ujmującego humoru spowitą komedyę...

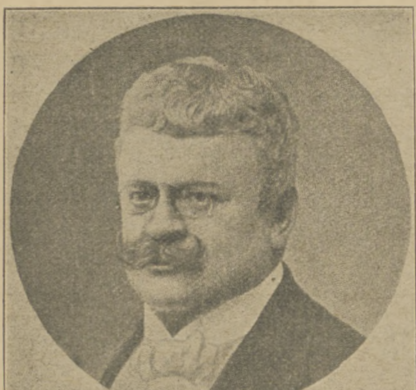
Rzecz ta jedyne w swoim rodzaju sprawia na widzu wrażenie. Odrywa go zupełnie od rzeczywistości, przenosi w świat inny, w świat poezyi, w świat uniesień przebrzmiałych tak dawno, jak młodości sny, jak pierwszej miłości czarowne, wiośniane rojenia. Któż nie marzył jak Percinet i Sylwetta, któż nie był tak jak oni śmieszny zarazem i wzniosły? O, błogi szale półmłodzieńczych — półdziecięcych lat! Z komedyi francuskiego czarodzieja przebrzmiała, zgasła przeszłość nasza melancholijnym nas pozdrawia uśmiechem, a my oddając pozdrowienie, uśmiechamy się do niej po przez łzy...

Przedstawienie wyreżyserowane znakomicie przez p. dyrektora Szczurkiewicza prezentowało się bardzo dobrze. Na specyalne wyszczególnienie zasługują p. Zawiejska i p. Mierzejewski, którzy odtworzyli z wdziękiem poetyczną parę kochanków i grali swe role z należytą, subtelną dystynkcyą. Na szczególną pochwałę zasługują jeszcze z tego względu, iż nie zeskamotowali uroku płynącego z niezrównanie pysznego wiersza, który Leo Belmont tak pięknie na język polski przetransponował. Role dowcipnych ojców u pp. Lochmana i Czerniaka w dobrych były rękach. Jako Straforel wystąpił p. Ryll z pewnych względów może nie najodpowiedniejszy przedstawiciel tej roli, lecz powodzenie u publiczności miał zupełne.

Liczna i doborowa publiczność zgromadziła się zeszłej środy w Bazarze, by uczestniczyć w niezwykłem wydarzeniu artystycznem, czem jest każdy występ publiczny Barcewicza.

Zasłużony bowiem dyrektor konserwatoryum warszawskiego — to nie tylko wirtuoz, dla którego nie istnieją żadne trudności techniczne, olśniewający blaskiem wprost nieprawdopodobnego opanowania instrumentu, to przedewszystkiem szczery i wielki artysta, poważny i rzetelny muzyk.

Nie brak skrzypków, którzy przewyższają Barcewicza pod względem wyrafinowania techniczno - wirtuozowskiego.



Profesor Stanisław Barcewicz.

Ale, jeżeli chodzi o to, co stanowi istotną wartość sztuki odtwórczej, to Barcewicz niewielu ma sobie równych.

Są prestidigitatorzy, którzy jeszcze błyskotliwsze niż on potrafią wyczarować pasaże, flażeolety, staccata i jak się tam te wszystkie palcołomstwa zowią, lecz niewielu jest artystów, którzyby mu dorównali pod względem intensywności i szczerości uczucia, pod względem potęgi i bezpośredniości ekspresyi gry, pod względem uwydatnienia charakteru granych kompozycyj, a także co do blasku i głębi tonu, który u niego nieporównanie jest wspaniały.

W tem spoczywa ta tajemnicza siła, która daje artyście władztwo dusz . To też nie było to przypadkiem ani kurtuazyą, że publiczność nasza, zazwyczaj dość chłodno przyjmująca artystów, dosłownie niemilknącemi owacyjnemi oklaskami darzyła warszawskiego mistrza.

Wielkie powodzenie miała także współkoncertantka p. Helena Ostrzyńska z Warszawy, w której poznaliśmy nader wytworną i wielce utalentowaną fortepianistkę. Piękne skrzydło koncertowe Feuricha dostarczył magazyn p. A. Drygasa. Koncert sam zawdzięczamy staraniom p. M. Niemierkiewicza.

R.

U tej gospodyni słabe nadzieje,
Która śpi jeszcze, gdy kogut pieje.

Nowości literackie.

Ks. Józef Kłos, Eucharystya a lud. *Mowa wygłoszona w sekcyi polskiej XXIII-go międzynarodowego Kongresu eucharysycznego w Wiedniu* dnia 12 września 1912. 30 stron, cena egz. kart. 40 fen. Poznań 1912. Czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha.

Mowa ta, która we Wiedniu na licznych słuchaczach, potężne wywarła wrażenie, nacechowaną jest głęboką wiarą w Pana Jezusa eucharystycznego, gorącą miłością do niego oraz serdecznym afektem do ludu katolickiego zwłaszcza pracujących warstw ludności polskiej.

Czcigodny mówca wyprowadza swój temat od poważnego proroctwa Izajasza: „Oto panna pocznie i porodzi syna i nazwie imię jego Emanuel“. Od wcielenia słowa autor przenosi wyrok do wieczernika, gdzie Boskie usta Jezusowe wyszepcą słowa: „To jest ciało moje — To jest krew moja — To czyńcie na moją pamiątkę“. Od owej chwili nierozerwalnie my z Bogiem a Bóg z nami — Emanuel.

Na pierwszem miejscu w szeregu ośmiu błogosławieństw postawiono: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest królestwo niebieskie“. Pan posłał Anioła swego nie do bogatego Jeruzalem, ani do potężnego Rzymu, lecz do pogardzonej Galilei, o której pisano, że „lud jej siedzący w ciemnościach, ujrzy światło wielkie“. Lud więc stanowi przedmiot odwiecznej troski Opatrzności. Pan Jezus eucharystyczny w zasadzie oczywiście nie inaczej odnosi się do ludu niż do innych warstw ludzkiej społeczności. „Wobec eucharystycznego Jezusa w pył upadają królewskie korony i książęce mitry, majątek i wysokość urodzenia i skarby ludzkiej nauki i wiedzy, ale też nie mają osobnych przywilejów ni chłopska siermięga ni łachman żebraczy...Równą też miłością ogarnia Chrystus Pan w Eucharystyi wszystkich synów ludzkich nie patrząc czy to Żydowin, czy Grek, czy pochodzi z pałaców sterczących dumnie, czy z pod walącej się najnędzniejszej lepianki.

A jednak dadzą się pociągnąć pewne linie, stanowiące dziwne, tajemnicze łączniki między Eucharystyą a ludem. Lud zaś w ściślejszem znaczeniu są to ciężko na skromne utrzymanie pracujące warstwy niższe na wsi i w mieście. Pan Jezus Eucharystyczny uzacnia biedę ,bo żyje w największem poniżeniu i wyniszczeniu. Stąd spływają niezliczone pociechy na wszelkiego rodzaju uciśnionych. W Eucharystyi mamy „męża boleści, który zna niemoc naszą“. Właśnie pamięć na Chrystusa ukoronowanego ,maluczkiego, cierpiącego z miłości dla ludu nieci żywy ogień wzajemnej miłości. „Ja ciebie kocham za Twoje konanie i za śmierć więcej, niż za zmartwychwstanie“. (Z. Krasiński, Glossa św. Teresy).

W dalszym toku autor opisuje, jak serdecznie lud umie obcować z Panem Jezusem w Eucharystyi. Eucharystya uczy lud cnoty. Niech przeciwnicy twierdzą, że Kościół dotąd budził tylko cnoty bierne, rezygnacyę, cierpliwość, posłuszeństwo nie usposobiając do czynu. A czy może być okazalszy czyn a potrzebniejszy w obecnych czasach materyalistycznych nad tę męską pogardę dla wszystkiego, co ziemskie nawet życia, gdy chodzi o wiekuiste skarby? Eucharystya uczy dalej *ducha ofiary*, tak mało praktykowanego w teraźniejszości. Lubo ofiara poniewolna i z konieczności, to jednak nie jest bez zasług i bez prawa do chwały. Bohaterstwa Bóg żąda tylko od wybranych dusz. Swoją ofiarnością lud kieruje strumienie łaski Bożej na wszystkich, bo według artykułu wiary o Świętych obcowaniu wspólne są błogosławieństwo i kary. Eucharystya koi przeciwieństwa społeczne, wyrównuje różnice stanów i łagodzi niebiańskim balsamem ostrość ustroju gospodarczego... Jak u żłóbka zgromadziły się króle w koronach ze sługami swemi aż do pachołka, czyniącego posługi około ich wielbłądów, ubożuchni pastuszkowie polni wraz z władzcami świata, tak i przed tabernakulum, pod promieniami lampy wiecznej, spotykają się nie bogacze i ubodzy, nie nizcy i wysocy, nie przełożeni i podwładni, nie.



Śmierć zdobywcy bieguna południowego. Słynny kapitan Scott, śmiały badacz i podróżnik, który po niesłychanych trudach dotarł 18 stycznia 1912 roku do bieguna południowego, zginął teraz wraz z czterema towarzyszami podróży w drodze powrotnej zaskoczony zawieją śnieżną. Wiadomość o jego śmierci doszła najpierw do Tow. Geograficznego w Londynie.

to *bracia* zbierają się jakby u stołu rodzinnego w domu swojego Ojca, który ich karmi wszyskich bez różnicy tym samym pokarmem: „Ciałem swojem i Krwią Najświętszą!“

Źle, że część inteligencyi zobojętniała dla wiary i wobec P. Jezusa eucharystycznego zachowuje się gorsząco, cóżby się atoli stało, gdyby lud, co nie daj Boże, kiedybądź odwrócił się od Kościoła? Niestety panujące koła i wyższe stany nie rozumieją znaków czasu. Lud, którego Bogiem jest Jezus Chrystus, nie będzie skłonny do rewolucyi powszechnej, bo uznaje w Eucharystyi podstawę ładu społecznego.

Oto niektóre złote myśli z przepięknej mowy. Forma zewnętrzna odznacza się właściwym czcigodnemu autorowi wzorowym stylem, pełnym poezyi i barwnych przenośni.

E. Buchholz.

Nasze ryciny.

„W pogoni.“

Na karcie albumowej dajemy dzisiaj w dalszym ciągu reprodukcyj arcydzieł naszego znakomitego malarza Józefa Brandta piękny obraz, przedstawiający scenę z historycznej przeszłości Polski: „W pogoni“. Obraz świadczy o niedoścignionej pomysłowości i oryginalności Józefa Brandta.

* * *

Ratusz krakowski.

Na rynku krakowskim do dzisiejszego dnia sterczy ogromna ciężka czworoboczna wieża, jako ostatni świadek po dawnym ratuszu krakowskim, w którym obradowały sławetne ojce miasta, w którym podpisywano ostatni wielki akt wolnej Polski, insurekcyi powstania kościuszkowskiego. Ręką i wyrokiem własnych rządców i ojców miasta padł wspaniały i w dobrym stanie jeszcze będący gmach, a miasto musiało zakupić inny budynek niemniej wspaniały, aczkolwiek skromniejszy: pałac Wielopolskich. Ale po latach i ten budynek okazał się nie wystarczającym. Zaczęto więc tworzyć nowy gmach, stary odnawiać. Odnowiono stary, cichy i skromny pałac Wielopolskich, napełniono go blichtrem i niesmakiem, stare zewnętrzne mury jakby się wstydziły przepychu błyskotek wewnętrznych, nadto obok niego wystawiono trzy olbrzymie, a szpetne w pomyśleniu gmachy, które tylko ze względu na stare sąsiednie budynki przynoszą niesmak, a starej Stolicy polskiej ujmę, że coś podobnego mogło w jej murach stanąć.

W tekscie zamieszczamy następujące ryciny: Nowy gmach Magistratu, pałac Wielopolskich, salę Rady miejskiej w pałacu Wielopolskich i nową klatkę schodową w tymże pałacu.

Dla niektórych tłum — to szumowiny społeczeństwa, od których się odwraca oczy ze wstrętem, to masa anonimowa, pospolita i bezduszna; dla drugich — to księga życia, na kartach której wypisane są bóle, braki, ułomności i występki wielorakie, ale obok tego ile pięknych i pouczających rzeczy!...



Fot. „Camera“ Z. Śniegocki w Poznaniu.

Zarwanie się starej budowli w Poznaniu.

Przy zrywaniu starego domu przy ul. Pawła 12 zarwała się dnia 8-go bm. wystawka pierwsze go piętra, wywróciła płot budowlany i zasypała gruzami całą niemal ulicę. Na szczęście dzięki ostrzeganiu przechodniów przez jednego z murarzy, który spostrzegł zbliżające się nieszczęście, nikt nie odniósł przy tem szwanku. Natychmiast zaalarmowana przez policyę straż ogniowa zajęła się usunięciem gruzów, co zajęło przeszło godzinę czasu. Ponieważ trzy filary groziły także zarwaniem się, przewróciła je straż ogniowa do wnętrza budowli. Na miejscu wypadku powstało wielkie zbiegowisko ludzi.

Do matek Polek.

O Matki-Polki, już dziś się kolebie
U naszych dziatek drobne serce w łonie,
Już upatrują tej gwiazdki na niebie,
Co wnet promienną jasnością zapłonie.

O Matki! święćcie dawne obyczaje,
Niech obcy zwyczaj w pośród was nie wzrasta,
Na straży tego, co swojskie, niech staje
Polska, co znana z dawnych cnót niewiasta.

O Matki-Polki, wy stańce na straży
Tego, co nasze i drogie, i miłe,
Od swych domowych, od cichych ołtarzy
Tchnijcie w swe dzieci wolę, hart i siłę.

Tchnijcie w ich serca takie ukochanie
Dawnych zwyczai i świętych pamiątek,
Aby wytrwały, stojąc niezachwianie,
I snując w przyszłość minionych dni wątek.

Ludzie zabawiać się czasem lubią słyszanemi potwarzami, ale potwarcami gardzą zawsze.

* * *

Uczcie swe dziatki, aby zawczasu były panami swego umysłu i swego ciała.

* * *

Kto na wiatr czeka, nigdy siać nie będzie,
Kto w chmury patrzy, plonu nie zdobędzie.

* * *

Trzeźwość i miara, to najwierniejsi stróże zdrowia naszego.



KRONIKA.

Kupujmy u swego i wyroby swojskie.

— „**Żywy dziennik**“ odbędzie się w najbliższym czasie na starej sali bazarowej. W skład komitetu redakcyjnego „Żywego dziennika“ wchodzi kilkunastu najwybitniejszych literatów i dziennikarzy, rodzaju żeńskiego i męskiego, dzielnicy naszej. Odczytają oni ad hoc do „Żywego dziennika“ napisane utwory. Wiązanka ich będzie spora i ciekawa, poważna i śmieszna, wzniosła i koziołkowata, dla myśli poruszenia i smutków rozproszenia. Żywy ten dziennik urządza Tow. dziennikarzy i literatów polskich dla zasilenia funduszu weteranów pióra, wdów i sierót po dziennikarzach i literatach dzielnicy naszej.

— **Uroczystość jubileuszowa p. St. Czerniaka** odbędzie się w teatrze dnia 25-go b. m.

Pan Czerniak jak wiadomo, święci w roku obecnym ćwierćwiecze nieprzerwanej pracy na scenie poznańskiej. Widząc w teatrze tutejszym wdzięczną placówkę dla służenia sztuce ojczystej, p. Czerniak odrzucał stale wszelkie nawet korzystniejsze propozycye i został wierny Poznaniowi, z którym zżył się i który pokochał szczerze. Zżyła się też z p. Czerniakiem publiczność nasza, która, nie wątpimy, da wyrazy żywionej dlań, a zasłużonej sympatyi. Przedstawioną będzie głośna sztuka z czasów Napoleona „Pani Walewska“, komedya w 5-ciu aktach. Dyrekcya w ocenie zasług Szan. jubilata czyni starania, aby sztuka ta wypadła pod każdym względem najwspanialej.

Reżyseruje p. Władysław Kindler.

— **Sprostowanie.** W części I artykułu p. t. „Przemysł polski a niemiecki w miastach W. Ks. Poznańskiego“ zaszły pomyłki. Mianowicie wynosi liczba osób pracujących w niem. przedsiębiorstwach zatrudniających 2—3 osoby 20921 (nie 30479), w polskich zaś 18179 (nie 28829). Dalej liczba przedsiębiorstw polskich, wielkości 4—20 osób, wynosi 2248 (nie 3248).

— **Ofiara bojkotu.** Rodak nasz, mistrz szewski, mieszkający na jednem z przedmieść Poznania, który z powodzeniem prowadził interes przez 4 lata i miał świetną egzystencyę, został pozbawiony naraz chleba skutkiem bojkotu hakatystów i jest zmuszony opuścić Poznań, by się osiedlić na prowincyi. Prosi zatem Sz. Rodaków by mu za naszem pośrednictwem wskazali miejscowość odpowiednią, w którejby mógł założyć skład i warsztat obuwia i liczyć na pewną egzystencyę.

— **Nasze banki.** Z nadesłanego nam sprawozdania (XI) Banku ludowego w Wyrzysku w roku 1912 wykazuje się, że obrót ogólny wynosił 2 212 441 marek, obrachunek zysków i strat 70 935 marek, bilans 1 423 133 marek. Do dyspozycyi walnego zebrania pozostało 8 442 marek. Członków przeszło na 1913 rok 544. Dyrektorem banku jest ksiądz Alfons Kaczmarek wybrany na czas nieograniczony, prezesem rady nadzorczej ksiądz dziekan Jan Tesmer. Walne zebranie odbyo się w czwartek 6-go lutego. Z nadesłanego nam sprawozdania Banku ludowego w Nowemmieście nad Drwęcą w Prusach Zachodnich wykazuje się, że ogólny obrót w 1912 roku wynosił 5 368 759 mk. 14 fen., obrachunek zysków i strat 149 840 mk. 70 fen., bilans 2 999 263 mk. 10 fen., do dyspozycyi walnego zebrania pozostało 24 645 mk. 86 fen. Członków przeszło na 1913 rok 1524. Skład Zarządu stanowią: ks. proboszcz Jan Batke dyrektor. Jan Wachowski podskarbi. Jakób Wojciechowski, kontroler. Leonard Janicki, urzędnik Banku. Mieczysław Bork, elew. Walne zebranie odbyło się dnia 11-go b. m. Z nadesłanego nam sprawozdania z Banku Ludowego w Żninie za rok 1912 przekonujemy się także, że interesa banku pomyślnie się rozwijają. Członków przeszło na 1913 rok 724. Skład Zarządu stanowią pp. Dr. W. Jączyński, dyrektor, Konstanty Kokocha, kasyer, Stanisław Gustowski, kontroler. Walne zebranie odbędzie się dnia 17-go b. m. o godzinie $11^1/_2$ przed południem w Żninie na sali p. J. Bukowieckiego.

— **Egzaminy czeladnicze dla krawczyń.** Świeżo ukończono ostatni z egzaminów czeladniczych zgłoszonych na styczniowy peryod egzaminacyjny, dla kobiet pracujących w damskiej krawieczczyźnie. Zgłosiło się 26 kandydatek, w tej liczbie 2 Niemki. Wszystkie egzamin złożyły i to z następującym rezultatem. Siedem panien z odznaczeniem „bardzo dobrze“, ośmnaście „dobrze“ i jedna „dostatecznie“.

Przyszły czas egzaminów naznaczony jest na czerwiec względnie lipiec. Zgłoszenia do tego egzaminu winny być doręczone do 1. czerwca. Zgłoszenia przyjmuje i teraz także przewodniczący komisyi egzaminacyjnej p. L. Miklaszewski w Poznaniu, plac Wilhelmowski 9 I. na okręg 11,. który obejmuje Poznań miasto i oba powiaty, dalej powiat jarociski, kościański, obornicki, śremski, średzki, wrzesiński i szamotulski bez miasta Pniew.

Załączyć przy zgłoszeniu trzeba: 1) Świadectwo uwierzytelnione przez gminę z dwuletniej nauki lub z czynności samodzielnej, albo dyrektrzyy względnie kierowniczki szwalni przez lat trzy; 2) własnoręcznie napisany bieg życia; 3) wniosek o dopuszczenie do egzaminu. Wszystko w języku niemieckim. Na koszty egzaminu należy dołączyć 6 marek.

O ile kandydatki uczyły się krócej niż dwa lata, ale u tej samej mistrzyni dalej pracowały, to czas ten może być uważany jako czas nauki i w świadectwie jako taki podany.

Do egzaminu wymaga się: a) wykonania sukni lub kostyumu, albo spódnicy i bluzki; b) znajomości teoretycznych złączonych ściśle z zawodem, jak nazwy i znajomość towarów, podszewek obsad; c) znajomość rachunków, o kasie chorych, znaczkach inwalidowych, książki roboczej, wypowiedzenie i miar w krawieczczyźnie potrzebnych. Radzi się, ażeby kandydatki do egzaminów zgłaszały się jak najwcześniej i nie odkładały zgłoszeń na ostatni czas. Po 1-ym października warunki egzaminów będą bardzo obostrzone, a więc trzeba korzystać z czasu.

— **Konkurs** na plakat i winietę do dyplomu dla wystawy przemysłowej w Bochum. Komitet przemysłowej wystawy w Bochum w Westfalii upoważnił zarząd „Stowarzyszenia Artystów“ w Poznaniu do ogłoszenia konkursu na plakat i winietę do dyplomu z następującemi warunkami:

1) Treść plakatu i winiety dowolna, jednakże najchętniej przedstawiać ma symbolicznie łączność kraju z obczyzną i wychodźtwem lub tęsknotę za krajem ojczystym. Wykonanie ma być akwarelą temperą lub olejno w formacie nie większym i nie mniejszym jak 50 razy 60 cm.

2) Zaleca się ze względu na reprodukcyę zastosować najwyżej cztery kolory, poza tem winien być umieszczony napis: „Wystawa Przemysłowa w Bochum w sierpniu roku 1913.“

3) Na nagrody przeznaczono ogółem 600 marek: a) plakat reklamowy: I. nagroda 150 mrk., II. nagroda 100 mrk., b) winieta do dyplomu: I. nagroda 250 mrk., II. nagroda 100 mrk.

4) Termin ostateczny nadsyłania prac 20-go kwietnia 1913 r. Każdy projekt powinien być koniecznie opatrzony w godło które należy umieścić w kopercie zamkniętej zawierające nazwisko i adres autora.

Otwarcie wystawy plakatów i dyplomów dla wystawy przemysłowej bochumskiej nastąpi w końcu kwietnia 1913 roku w salonie „Stowarzyszenia Artystów“ przy placu Wilhelmowskim 14.

Komisya rozpoznawcza:

K. Ruciński, M. Kremerówna, J. hr. Mycielski, Z. Sieniawska, K. Szmyt, A. Fiedler, L. Gendzierski, J. Graczyński, B. Śniegocki, dr. Krzyżankiewicz.

Z Bochum: Piechocki, Kierczyński.

— **Berlin.** Koncert uczniów Konserwatoryum Szopenowskiego w Berlinie odbył się dnia 3 bm. na wielkiej sali „Union — Festsaele“, Greifswalderstr. 222—23 pod dyrekcyą *p. B. Marcinkowskiego*. Bardzo licznie zebrani goście składali się przeważnie z rodziców, krewnych i znajomych poszczególnych uczniów. Koncert udał się doskonale. Ogromne wrażenie zrobił występ uczniów, którzy w sile około 60 w tem 40 samych skrzypiec zlali się w harmonię z 3 fortepianami na 12 rąk i innemi instrumentami. Słuchacze odnieśli wrażenie, jakoby grała największa orkiestra, złożona z doświadczonych muzyków. Całość wypadła pod dzielną dyrekcyą pedagoga muzyki nadspodziewanie. Wyrazem jak największego uznania publiczności dla dzielnego kierownika były huczne oklaski, a kwiaty i wieńce złożone p. dyrektorowi B. Marcinkowskiemu okazaniem zewnętrznem wdzięczności za jego pracę i poświęcenie. Po koncercie nastąpiło zdjęcie fotograficzne.

(Naszym rodakom w Berlinie polecić możemy z pełnem zaufaniem konserwatoryum Szopenowskie p. B. Marcinkowskiego przy Kniproderstr .11—12 I. Znamy p. Bolesława Marcinkowskiego z Poznania jako bardzo sumiennego pedagoga, dyrektora muzyki i kompozytora. — Red)

Nekrologia.

Ś. p. Wadysław Wesołowski, drugi kapelan przy kościele Pofilipińskim w Gostyniu, dnia 5-go b. m. w Gostyniu w 32-im roku życia. — *Ś. p. Katarzyna Leokadya z Mizerskich William*, wdowa po weteranie z roku 1863, dnia 15-go z. m. w Hamburgu. — *Ś. p. z Andrzejewiczów Walentyna Rentzowa*, dnia 6-go b. m. w Gnieźnie, w 73-im roku życia. — *Ś. p. Teofil Ciesielski*, emerytowany nauczyciel, dnia 6-go b. m. w Rawiczu w wieku 62 lat. — *Ś. p. Maciej Muneller*, dnia 6-go b. m. w Jurkowicach w Prusach Zachodnich, w 89-ym roku życia. Pogrzeb odbył się dnia 11-go b. m. w Pelplinie. — *ś. p. Marya Niedbał* dnia 7-go b. m. w Zbszyniu. — *Ś. p. z Niklewiczów Michalina Ziętkiewiczowa*, dnia 7-go b. m. w Poznaniu. — *Ś. p. Karol Kromczyński*, dnia 8-go b. m. w Poznaniu przeżywszy lat 53. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— W każdym najświeższym numerze „Pracy" mogą być zamieszczone tylko te notatki, komunikaty, wiadomości i t. p., które odbierzemy najpóźniej w każdą środę rano — a jeżeli przypada święto w tygodniu — najpóźniej we wtorek rano.

— Prosimy o nadsyłanie wyraźnych i czytelnych rękopisów, gdyż wiele jest pisanych tak niewyraźnie, że odcyfrowanie ich jest chyba możliwe przy pomocy szkieł powiększających. Należy szanować oczy tych, których byt opiera się na oczach, pisać zatem wyraźnie i czytelnie. Hierogliły pozostawmy starożytności.

— Pani M. S. na prowincyi. — „Praca" kosztuje kwartalnie do Królestwa Polskiego mk. 4,00.

— Mimozie z M. — Nie „tęschnię", lecz tęsknię. Nie można też spuszczać skroni na piersi. Zresztą zdaje się, że przy pracy talent się wyrobi.

— Pani W. w Poznaniu. — Czynimy tak zawsze, ale rzadko tylko krewni stosują się do naszej prośby. Fotografij ś. p. P. i S. znikąd otrzymać nie mogliśmy, więc co do nas nie braknie nam nigdy dobrej woli.

— Pani K. K. w M. — Wiersz nadesłany nie nadaje się do „Pracy".

— Panu Michałowi M. w H. na obczyźnie. — Pocztówki i fotografię księdza odebraliśmy, dziękujemy za pamięć.

Nowe książki i treść pism.

— *„Filarety"*, miesięcznika kulturalnego młodzieży opuścił prasę zeszyt na luty i zawiera jak zwykle treść zajmującą i doborową. „Filaretę" jeszcze wciąż zamawiać można na poczcie lub w ekspedycyi, ul. Rycerska nr. 38.

Adres Redakcyi: ulica Rycerska nr. 38. Abonament 90 fen. kwartalnie. Pod opaską 1,10 mk. W Austryi 1,20 kor. W Rosyi 75 kop. W Ameryce 1,25 M. Poszczególne zeszyty „Filarety" nabywać można w ekspedycyi „Filarety" Poznań, ulica Rycerska 38. — W Księgarni św. Wojciecha, św. Marcin 69. — W domu Towarowym K. Ignatowicza, Stary Rynek. Cena egzemplarz 30 fen. Ogłoszenia: Cała strona 15 mk., pół strony 8 mk. Filareta wychodzi dnia dziesiątego każdego miesiąca.

— *„Śpiewaka"* treść nr. 2-go na luty: Od Wydziałów. — Słów kilka o śpiewności języka polskiego (B. Dembiński). — Chorał gregoryański. (H. Rzepecka). — „Jasełka" — Sonety krymskie. — Z życia Kół i tow. organistowskich. — Rozmaitości. Numery na okaz gr. i fr. wysyła K. T. Barwicki, Półwiejska 35.

— *„Miesiąc marzec"*, książka poświęcona czci św.Józefa, wyszła nakładem ksks. Salezyanów w Oświęcimiu. Cena 40 halerzy (35 fen.) Napisał ks. L. Chiavarino, tumaczył ks. A. K., Salezyanin.

— *„Żywot św. Franciszka Salezego"*. Pod takim tytułem wyszła piękna nader książka w drugiem wydaniu nakładem Zakładu ks. Bosko w Oświęcimiu (Księży Salezyan). — Po przeczytaniu „Żywota św. Franciszka Salezego" odnieśliśmy wrażenie, że chyba nie potrafilibyśmy lepszego wzoru do naśladowania polecić tym, którzy pragną być ludźmi czynu, obfitującego w błogie owoce: każdy bowiem znajdzie dla siebie w tym „Żywocie" niewyczerpaną krynicę wszelakich cnót do naśladowania; św .Franciszek bowiem jako kapłan tak był zapalony gorliwością o dusz zbawienie, że nie baczył na żadne niewygody; zapomniał o sobie, kiedy o dusze drugich chodziło tak, iż sam jego biskup musiał go hamować w tem nadmiernem jego poświęcaniu się. Z całem tedy przekonaniem twierdzimy, że niniejszy „Żywot" powinien być niejako nieodłącznem „vademecum" każdego kapłana a nawet kleryka, który pragnie wstąpić kiedyś w ślady tego gorliwego apostoła.

Ojciec i matka rodziny również znajdzie w tym „Żywocie" wskazówki jak powinni prowadzić do Boga dzieci, które od Niego otrzymali. — Zresztą niech „Żywot" ten weźmie do ręki prosty robotnik lub wykształcony i uczony, gdyż każdy znajdzie w nim wzniosły przykład życia i poświęcenia zastosowany dla swoich duchownych potrzeb. — Nawet i ci, co z piórem w ręku pracują, aby czytelnikom swoim dać zdrowy pokarm duchowy, także i dziennikarze katoliccy znajdą w tym „Żywocie" wiele wspaniałych wskazówek, bo niedarmo Leon XIII ogłosił św. Franciszka Salezego „Patronem prasy"!

Lecz, jeżeli dla wszystkich, to szczególniej dla młodzieży książka ta powinna być pożądaną. Młodzież jest tym woskiem, na którym wszystko swą podobiznę wytłacza; na młodzieży również wszelki przykład ślady swoje zostawia; młodzież żyje tylko naśladownictwem: i oto w tym „Żywocie" znajdzie ona wzniosły przykład i wzór do naśladowania. Św. Franciszek, będąc młodzieńcem, różne przeżywał chwile: to szczęście mu sprzyjało, to czarny smutek a nawet rozpacz sercem jego miotała, to znów żył on uniesieniami młodzieńczemi... I oto młodzieży, wierny twój obraz: weźmij ten „Żywot", i zobacz jak w danych chwilach postępował młody Franciszek Salezy, i porównaj, czy i twoje kroki idą w parze z jego postępowaniem!...

Wobec tego wszystkiego wszelkie inne, że tak powiemy, materyalne zalety książki tej powinny zejść na drugi i uboczny plan. Jednak i zewnętrzna szata tejże książki jest pokaźna, bo ruchliwa drukarnia „Katolika" w Bytomiu chlubnie wywiązała się z swego zadania przy drugiem wydaniu „Żywota św. Franciszka Salezego".

Dla zaopatrzenia się w tę przezacną książkę powinna nam dodać bodźca i nizka jej cena (3 mk.), pomimo, że książka obejmuje 500 stronnic zbitego druku i jest ozdobiona 29 artystycznemi czarnemi oraz kolorowemi obrazkami. Dochód ze sprzedaży przeznaczony jest na kształcenie ubogiej młodzieży w Zakładzie Księży Salezyanów w Oświęcimiu.

Kto nadeśle do Ekspedycyi „Pracy" przekazem pocztowym 3 mk. odbierze książkę „Żywot św. Franciszka Salezego" franko.

— *Album Stowarzyszenia Artystów.* W beznagannej — jak zazwyczaj — szacie ukazało się tegoroczne premium poznańskiego Stowarzyszenia Artystów. Zewnętrznie przedstawia się „Album" bardzo ładnie i przynosi zaszczyt drukarni p. Antoniego Fiedlera, której wykonanie typograficzne dzieła poruczono. Szkoda, że nie można tego samego powiedzieć o jego treści literackiej. Są tam rzeczy bardzo dobre; lecz niestety większa część — to mierne, a częściowo nawet mimo całą swą pretensyonalność bardzo słabe i nieudatne produkta wyrobnictwa krasopisarskiego aby wskazać tylko na rzeczy Chocieszyńskiego. Żałować trzeba, że redakcya nie potrafiła zainteresować większej liczby wybitniejszych pisarzy naszych. Brak ich tam dotkliwy. Zaledwie kilka poważnych tam znachodzimy nazwisk. Ktoby zatem według tego albumu chciał formować sobie sąd o poziomie kultury literackiej poznańskiej — ten do ujemniejszych doszedłby sądów, aniżeli je usprawiedliwia istotnie niezbyt pocieszna rzeczywistość. Życzyćby należało, aby na przyszłość z większą starannością zgromadzono materyał literacki i nie drukowano bez wyboru, co się komu nadesłać spodoba.

Tam się bieda wejść nie waży,
Gdzie praca, pilność na straży,
Gdzie się z chęcią zejdzie praca,
Tam się hojnie trud opłaca.

Karpiński.

* *
*

Utonie wszystko w czasu obszarze,
Rdza zrobi szczerby w sprężynie,
I ty umilkniesz! serce — zegarze,
Lecz coś wydzwonił — nie zginie!

Kazimierz Krasiński.

Nadesłano.



POLKA.*)

(Wspomnienie z 1863-go roku.)

I dumne wzniosła czoło wśród tłumu barwnego
Tych pań całego świata w świecie zebranego,
Strojnych w złoto, purpurę i wdzięki i czary
I w dowcip i w tytuły, w honory bez miary.
Nie zdobiło ją złoto ani strój bogaty,
Ubogie były, skromne, żałobne jej szaty.
Lecz gdy była ciekawie o godność pytana,
Mój tytuł — rzecze z dumą — ten, żem Polką zwana.
Polka! i wnet się ze czcią pochyliły skronie
I wnet przyjazne zewsząd wyciągnęły dłonie. —
Polka! to nie zwyczajna, powszednia niewiasta,
Którą wszędzie napotkasz, wszędzie bujno wzrasta,
Której cel, przeznaczenie, być zabawką świata,
Której w tryumfie żywioł i życia zapłata.
Polka to święty ołtarz, na którym ognisko
Miłości podsycane, wieczne ma siedlisko.
W niej ziarno przyszłych losów złożone jest w głębi,
W niej wszystko, co ojczyste, niczem się nie zziębi;
W niej z modlitwą praojców, cnota ich przetrwała,
W niej z wiarą i miłością nadzieja została.
I gdy wszystko uległo pod zwątpienia groty,
Gdy się wszystkie zachwiały zasady i cnoty,
Ona wierzyła święcie w przyszłość, zmartwychwstanie,
Wierzyła, modląc Panu, w słowo: niech się stanie!
I gdy wszystkie do walki osłabły już dłonie —
I gdy wszystkich niewola pochyliła skronie,
Ona stanęła jedna, groźna przeciw wroga,
Wielka miłością świętą, silna wiarą w Boga.
Ujęła oręż straszny, mistyczny, niemylny,
Co podbił wszystkie serca w jeden głos przychylny,
I w wszystkie serca wlała swą miłość, uczucia, —
I wszystkie obudziła wiarą w swe przeczucia.
A Moskal darmo chciał wyrwać berło z jej ręki,
Straszył ją torturami i kajdanów brzęki.
Ona mu zajrzy w oczy śmiała, niezachwiana;
On zadrżał przed tym wzrokiem i ugiął kolana
Przed potęgą uroku moralnej wyższości,
Wyższej nad Sybir, knuty, nienawiść i złości.
„Ha! zawoła w rozpaczy, a jam sądził przecie,
„Że już znikł polski naród z żyjących na świecie, —
„A on olbrzymem stoi, w olbrzyma wyrasta,
„A tą olbrzymią siłą jest polska niewiasta."
Polko! czyś Ty pojęła Twoje przeznaczenie?
Twoją misyę, Twą dążność, Twe w świecie znaczenie?
Wieszli, żeś dla tyrana najstraszniejszym wrogiem?
Żeś do zwycięstwa jemu nieprzebytym progiem?
A póki jeszcze Polka na polskiej ziemicy
Żyć będzie, kochać będzie, próżno najezdnicy
Marzyć będą w tryumfie, że Polska zginęła;
Ona żyć będzie w Polce, która to pojęła,
Że życie przyszłe Polski w jej się kryje łonie;
W niem odrodzenie świata zmartwychwstaniem płonie.
Polko! Tyś namaszczona, Tyś kraju kapłanka,
Tyś obowiązków świętych świątynia — wybranka.
Tobie nie wolno w próżności smakować jak innym,
Ni Twego życia przebawić w śmiechu dziecinnym;
Bo myśli, serce Twoje, własnością narodu,
Bo Ty do wesołości dziś nie masz powodu!
Zamiast kwiatów, dla Ciebie cierniowa korona
Na trumnie męczenników została spleciona,
A tyś palmę ujęła zwycięstwa, natchnienia,
Modlitwy, pokoju, wiary, przebaczenia;
I pojęłaś, by godnie nosić Polki miano,
Wyższą myślą i czuciem trzeba być owianą
I tyle mieć miłości, by w onej ognisku
Wszystko i wszystkich złączyć w braterskim uścisku,
Wszystkich i wszystko złączyć w braterskiem imieniu,
Wszystkich i wszystko podnieść w nadziei, natchnieniu;
I przechować nietkniętą historyę wiekową
I być narodu sercem, nie mogąc być głową.
I być jego religii, zwyczajów strażnicą,
Patryarchalnej cnoty najczystszą krynicą.
Cześć, chwała, Polko, Tobie, kiedyś zrozumiała
Jaka myśl dziś z imieniem Twojem się związała.
Lecz jeśli serce Twoje pusta, zimna bryła,
Jeźli się myśl ofiary w niem nie wyrobiła,
Kiedy pokochać zdolną byłaś tylko siebie,
Wtedy nie zwij się Polką, naród wyprze Ciebie.
Ofiara, poświęcenie, miłość Polski — modła,
Bo tylko ta jest Polką, co czyn wcieli w godła.

*) Wiersz, napisany przez Polkę z Inflant w 1863 roku. Mianowicie w obecnym roku pamiątkowym i w tylu smutkach przygniatających nas wszystkich, przypomnienie go jest bardzo na czasie. Wiersz ten przed pięćdziesięciu laty prywatnie rozsyłano w rękopisie z Paryża do polskich domów w Królestwie Polskiem, gdzie go przepisywało wiele osób i rozpowszechniało.

Szkoła matek.

W Anglii kwestya hygieny dziecka staje się kwestyą narodowego znaczenia. Społeczeństwo zrozumiało, że jedynem zabezpieczeniem przyszłych pokoleń od fizycznej degeneracyi jest umiejętne wychowanie dzieci. Ale nie tylko o utrzymanie zdrowia tu chodzi, lecz i o zmniejszenie śmiertelności wśród niemowląt. Społeczeństwo widzi, że przyrost ludności, jakkolwiek jest znaczny, nie odpowiada liczebnej sile narodu głównie z powodu dużej śmiertelności wśród dzieci. Ta znaczna śmiertelność zarówno w Anglii jak i w całej Europie (u nas niema nawet co mówić) istnieje jedynie z powodu braku elementarnych wiadomości matek o fizycznem wychowaniu dzieci, a głównie niemowląt.

Istniejące przepisy prawne, wysoki poziom oświaty, opieka instytucyj samorządnych, towarzystw i t. p. do pewnego stopnia zapobiega złemu, lecz go w zupełności nie usuwa.

W społeczeństwie angielskiem coraz szerzej rozpowszechnia się przekonanie, że wychowanie dzieci wymaga specyalnej umiejętności i dlatego też ani przepisy prawne, ani odczyty, broszury, odezwy i t. p. nie wydadzą tak dobrego rezultatu, jak specyalne wykształcenie dziewcząt jako przyszłych matek.

Rezultatem tych dążeń są bardzo dobre szkoły nianiek, — następnie żądanie, aby nauka gospodarstwa domowego i nauka o hygienie dziecka były przedmiotami obowiązkowemi we wszystkich szkołach żeńskich; ostatnim zaś wyrazem tych dążeń są założone niedawno szkoły matek.

Są dwa rodzaje tych szkół. Pierwsza istnieje dla panien. Przyjmowane są do owej szkoły panny, od lat 18, nauka jest teoretyczną i praktyczną. Z przedmiotów wykładane są anatomia kobiety i dziecka, hygiena, odżywianie dziecka, pierwsza pomoc w nagłych wypadkach i t. p. Po teoretycznych wiadomościach n. p. jak się zachować w czasie ciąży, jak się należy opiekować niemowlętami w pierwszych tygodniach ich życia i t. p., każda uczennica dostaje sześciotygodniowe dziecko pod swoją wyłączną opiekę.

To jest praktyczna nauka macierzyństwa.

Odbywa się ona pod kierunkiem wykwalifikowanych nauczycielek ze szkoły nianiek i kobiet-lekarzy. Każda uczennica spełnia wszystkie obowiązki, więc przyrządza jedzenie, karmi dziecko, przewija, kąpie, szyje ubranka itp.

Nauka trwa około 10 miesięcy, t. j. przez tyle czasu, przez ile główną podstawę w pożywieniu dziecka stanowi mleko i kończy się, gdy dziecko przejdzie już na inne potrawy.

Tym więc sposobem wychowanki szkoły nabierają praktycznych wiadomości, jak obchodzić się z niemowlętami, w najważniejszym okresie ich życia, a nauka obejmuje i ten najniebezpieczniejszy czas, kiedy następuje zmiana w pożywieniu, a w którym to właśnie okresie z powodu nieumiejętnego odżywiania panuje wśród dzieci największa śmiertelność.

Drugi typ szkoły istnieje tylko dla matek. Szkoła ta mieści się w biednej dzielnicy miasta (Cholton str. St. Pankras) i jest rodzajem pogotowia ratunkowego dla niemowląt, gdyż niezależnie od systematycznych wykładów o wychowaniu niemowląt udzielane są matkom porady i wskazówki ogólne, a na wypadek choroby dziecka i lekarskie. Nauczycielkami są tutaj kobiety lekarki; „opłata szkolna“ wynosi 10 do 20 fen. tygodniowo.

Nauka odbywa się w ten sposób, jak w szkole dla panien, z tą tylko różnicą, że opiekunki odwiedzają „uczennice“ celem sprawdzenia, czy wskazówki nauczycielek są dobrze wykonywane.

Na zakończenie przytoczyć musimy inny jeszcze sposób nauki wychowania niemowląt. Są to konkursy dla matek. Konkursy te mają na celu zachęcanie matek do karmienia, jak również do starannego obchodzenia się z maleństwami. Do konkursu stawać mogą te matki, których dochody tygodniowe (bądź męża, bądź wspólne) nie przynoszą 30 szyl. tygodniowo. Zapisy do konkursu przyjmują się przed urodzeniem dziecka lub najddalej w dwa tygodnie po urodzeniu. Matka podpisuje odpowiednią deklaracyę z wyliczeniem wieku rodziców dziecka, lub zajęcia, ilości dzieci i t. p., i otrzymuje broszurki o pielęgnowaniu niemowląt. Ubiegające się o nagrody muszą co miesiąc przynieść dziecko do ważenia i co najmniej raz na dwa tygodnie są odwiedzane przez panie, wydelegowane przez komitet konkursowy celem sprawdzenia, w jakich warunkach znajduje się dziecko. Każde z maleństw ma swoje konto, w którem zapisywane są debet i credit jego zdrowia. Po roku następuje przyznanie nagród, których zwykle bywa 5 od 60—25 mrk. Odbywa się to z wielką uroczystością. Wszystkie kandydatki o nagrody wraz z dziećmi przyjmowane są obiadem, po którym następuje rozdanie nagród, fotografowanie nagrodzonych dzieci i odpowiedni odczyt. Tak się pracuje dla Milusińskich.

Wymaga to dużo energii, poświęcenia i miłości, — trzech czynników, składających fundament, na którym buduje się pomyślność narodu.

Krasinski — a kobieta.

W stosunku do kobiety, Krasiński jest, oczywiście tym samym wyznawcą gorącym ewolucyi ducha, owego wskrzeszenia siebie pod przewodem dobrej woli, źródła wszystkich cnót kardynalnych. Zadaniem kobiety jak zadaniem człowieka jest powołanie owego strumienia piękności, który w niej płynie, do żywej wiedzy o sobie, przetopienie całego żywiołu, który jest w niej jedynie przyrodą piękna, do godności władzy świadomej — życia odruchowego — do życia moralnego i odpowiedzialnego. I wtedy dopiero kobieta tak opanowana, tak oblana „światłem wiecznotrwałem,“ staje się prawdziwą pięknością, staje się ideałem, bowiem piękność wszelka jest jedynie z ducha i jego mocy, jest więcej — jedyną rzeczywistością, która świadczy o sobie.

I w tym względzie, dobitniej od wszelkich programów i postulatów dzisiejszej emancypacyi, streszcza on genialnym rzutem w wierszu „Do kobiety“ całe jej zadanie istotne, po wszystkie czasy stale obowiązujące. Wiersz ten winien się stać dla każdej kobiety kryształowem zwierciadłem, przed którem ducha swego codziennie ma w szaty białe przystrajać na gody z oblubieńcem — życiem odrodzonem. Oto ów kanon emancypacyjny:

Choć serca znęcisz skrawych ócz kryształem,
Choć je podeptasz czczej myśli suchością,
Nie będziesz jeszcze żywym ideałem,
Nie będziesz jeszcze niewieścią pięknością.

Skromność bez wiedzy, lub bezwstydne lice,
Równie się dzisiaj na mało przydały,
Nie być, lecz wyrość musisz na dziewicę,
Przechodząc zwolna świat ten bólu cały.

A gdy z twych natchnień i mąk i łez mnóstwa
Wybłyśnie w końcu święty promień bóstwa,
I twarz ci zleje światłem wiecznotrwałem, —

Gdy na twem bladem, marmurowem czole,
W wieniec się mocy splotą życia bole,
Wtedyś pięknością, wtedyś ideałem!

Na postulat ten zgodzi się każda kobieta, która być pragnie — człowiekiem.



Karawana transportująca kość słoniową w Wschodniej Afryce.

Śladem słoni w Wschodniej Afryce.

Jeżeli serce myśliwego uderza już silniej na myśl o polowaniu na jelenia lub rogacza, to o ile więcej czuje radości na myśl o polowaniu na największe w świecie zwierzę! Są to chwile najwyższego uniesienia!

Polowanie na szarego olbrzyma dziewiczych lasów Afryki jest trudnem i niebezpiecznem. Ale z jaką dumą staje myśliwy obok zabitego zwierzęcia w przeświadczeniu swej wyższości.

Jeden z doświadczonych myśliwych opowiada o takiem polowaniu z r. 1910 co następuje:

„Polowanie na słonia odbywa się zwykle tak, że myśliwi chodzą dopóty po lesie i łąkach, na których przypuszczalnie znajdują się słonie, dopóki na świeże nie natrafią ślady; poznaje się to po zdeptanej ziemi, zgniecionej trawie i t. p.

Śladami temi trzeba iść tak długo, aż się zobaczy słonie. Trwa to czasem kilka dni, lecz można o tyle łatwiej znaleść słonie, że zwierzęta te kryją się w największym upale, a więc od godziny 11—3-ciej w cień i tam drzemią, leżąc nieruchomie. Zabawnem jest, że w nocy, w tych samych godzinach śpią także. Zresztą chodzą wolno tu i tam, skubią trawę i piją wodę, na co bardzo wiele potrzebują czasu. Myśliwy musi naturalnie iść pospiesznym krokiem, jeżeli chce się zbliżyć do słoni. Najlepiej się urządzić tak, aby je spotkać w czasie południowym—wtenczas bowiem można sobie, jeżeli ich jest więcej, upatrzeć jednego i celnym zabić go strzałem. W najrzadszych tylko wypadkach spotyka się słonie bez zauważenia poprzednio ich śladu.

Ale jak na każdem polowaniu tak i tu powinien uwzględnić myśliwy rozmaite nawyknienia i instynty zwierzyny. Słoń nie ma bystrego wzroku we dnie, rozmaite też szelesty nawet zbliżający się w krzewach ludzie bardzo mu są obojętni. Natomiast węch ma doskonały, tak, że jeżeli wiatr jest pomyślny, poczuje trąbą swoją człowieka w oddaleniu 1000 metrów. Chodzenie więc śladem słoni jest zawsze niebezpieczne i ryzykowne — to też należy od czasu do czasu kazać murzynom wejść na drzewo i rozpatrzyć się dokładnie, czy słoni nie ma w pobliżu.



Olbrzymi kieł słoniowy.

Pewnego dnia wybrałem się z 12 murzynami zaopatrzonymi w jadło, kołdry, wodę, sprzęty kuchenne i t. p. na polowanie. Deszczu nie było od kilku tygodni, stepy więc zarosłe były gęstą trawą wysokości 2—3 metrów. Wszędzie jednak znajdowały się jeszcze bagniste miejsca, z palm dojrzałe spadały owoce — jest to ulubiony przysmak słoni, drzewa świeże wypuszczały liście, słowem: wszystko złożyło się na to, aby słonie z gór zwabić w dolinę.

Po upływie trzech godzin — było to rano około godziny dziewiątej — znaleźliśmy mniej więcej dwadzieścia świeżych śladów, pomiędzy temi dwa potężne. Pospieszyliśmy żywo naprzód; mój poczciwy boy Abdallah drżał z niecierpliwości i oświadczał mi nieustannie, że dziś jeszcze zabije słonia. Ale słońce wznosiło się coraz to wyżej, zapał nasz zmniejszał się za to z każdą chwilą. I gdy o czwartej po południu żadnej jeszcze nie mieliśmy pewności, że słonie są w pobliżu, uważałem sprawę, na ten dzień przynajmniej, za zupełnie straconą. Miejsce, na którem zwierzęta odpoczywały w czasie południowego upału, dawno już opuściliśmy, przeciskając się mozolnie przez gęstą stepową trawę i szukając upragnionej zdobyczy. Co chwilę wpadał jeden z nas w bagno, t. j. w dziury, wytworzone olbrzymiemi i ciężkiemi nogami słoni, i z głośną klątwą musieliśmy się nawzajem wyciągać z bagna. Co 200—300 kroków stały drzewa — murzyni wchodzili natychmiast na nie, oglądali się uważnie i wołali smutnie: „tembo hapana,“ co znaczy: „słoni nigdzie nie widać.“

Nagle rozległ się w dali silny głos, podobny do trąby, na dźwięk którego porwaliśmy się wszyscy jak gdyby dotknięci prądem elektrycznym! Nareszcie! Nareszcie! Było to tak, jak kiedy po długim, uciążliwym marszu zagra muzyka wojskowa. Każdy prostuje się mimowoli i rozjaśnia twarz. Z nową otuchą posuwaliśmy się naprzód, spiesząc do najbliższego drzewa. Bagaże nasze rzuciliśmy na ziemię i po chwili siedzieliśmy wszyscy na drzewie, aby stwierdzić, gdzie się właściwie znajdują słonie.

Były one odalone od nas o mniej więcej 800 kroków i stojąc w ogromnej kałuży opryskiwały się nawzajem szlamem. Było im widocznie bardzo tam dobrze, bo nie ruszały się z miejsca. Wysoka, rozłożysta akacya stała blizko nich; było to świetne stanowisko, wiatr sprzyjał nam także. Postanowiłem więc zboczyć z śladu, zabrać z sobą tylko Abdallaha i wejść z nim razem na ową akacyę. Ztamtąd musiało mi się wszystko jak najlepiej udać, nie wątpiłem o tem ani na chwilę. Kierując się chmurami, kompasem i słońcem, bo na ziemi nie widzieliśmy ani pół metra dalej, poszliśmy ku akacyi. Niosłem moją dubeltówkę niezwykłego kalibru, Abdallah zaś miał drugą moją dubeltówkę takiegoż kalibru. Obiedwie

były naturalnie nabite. Każda sekunda wiekiem nam się zdawała — lecz słyszeliśmy mruk słoni coraz wyraźniej i zwróciliśmy się na prawo. Myślałem już, że w złym idziemy kierunku i chciałem tym samym wracać śladem, lękałem się bowiem, że słonie nas zwietrzą, lecz zaraz potem ujrzałem wierzchołek



Łup.

owej akacyi. Byłem więc prawie u celu i w myśli widziałem już olbrzymiego słonia, leżącego u mych stóp. Nie dając Abdallahowi żadnych dyspozycyj, wszedłem pełen oczekiwania na drzewo i stanąwszy na wierzchołku ujrzałem słonia w odległości 120 kroków. Pomiędzy słoniami był jeden, olbrzym prawdziwy. Przestraszyłem się teraz, ujrzawszy, jak nagle mój olbrzym obrócił się tak, że głowa jego znalazła się o sześć kroków od drzewa. Dzięki Bogu, miałem szare na sobie ubranie, wyglądałem więc zupełnie tak jak moje otoczenie. Zwolna podniosłem dubeltówkę, odsunąłem zabezpieczenie i położywszy palec na cynglu czekałem nieruchomy, przytulony do pnia, na chwilę, w której słoń, ruszywszy głową, zwróci się skronią ku mnie. Chociaż zastrzeliłem już dwanaście słoni, wiedziałem, że strzał w czoło nic nie pomoże, sytuacya więc bardzo była niekorzystną, a stała się wprost rozpaczliwą, gdy gałąź, na której stałem, zgięła się i zaczęła trzeszczeć. Słoń podniósł trąbę i spojrzał w moją stronę — musiał mnie bezwarunkowo zwietrzyć, postanowiłem zatem szybko na czyn jakiś się zdecydować, jeżeli nie chciałem, aby mnie słoń trąbą, albo zrzucił, albo przynajmniej z drzewa ściągnął. Schwyciłem więc dubeltówkę, wyceliłem wprost pomiędzy oczy i wypaliłem z obydwóch luf. Skutek był niespodziewany. Strzał wywarł taki na mnie nacisk, że spadłem z drzewa i leżałem na ziemi z zwichniętą ręką. Na nieszczęście zaryła się dubeltówka lufą głęboko w piasek, nie mogłem jej zatem więcej użyć. Leżąc pod drzewem nie zdołałem sobie w pierwszej chwili zdać sprawy z mego położenia, lecz straszliwy trzask łamiącego się drzewa, które słoń wyrwał nieomal z korzeniem stawił mi przed oczy niebezpieczeństwo, w jakiem się znajdowałem. Słoń stał teraz tak blizko mnie, że dotykałem prawie lewej jego nogi.

Chociaż byłbym miał moją dubeltówkę, nie byłbym nic mógł zrobić, bo dosyć gruba gałąź złamanej akacyi przyciskała mi kolano tak, że nie mogłem się ruszyć. O Abdallahu nie myślałem już wcale i rozważałem tylko nad tem, w jaki sposób skończę tutaj: czy rozdeptany, czy rozbity trąbą — wiedziałem bowiem napewno, że słoń po krótkim odpoczynku zacznie przeszukiwać drzewo i że niewątpliwie mnie znajdzie. Byłem przekonany, że nie ujdę śmierci.

Muszę jednak wyznać, że pomimo straszliwego niebezpieczeństwa mniej drżałem z obawy o życie jak z szalonej wściekłości przeciw słoniowi, ale bądź co bądź, były to chwile okropne.

Teraz przechylił słoń głowę na bok i zaczął się oglądać, a mnie dreszcz zimny przeszedł po członkach. Lecz nagle rozlega się huk — tuż nad moją głową — ogromny słoń zaczyna się chwiać i z głuchym sykiem pada na ziemię. Moja chęć i wola życia były w ostatnich chwilach tak silne, że uważałem to wszystko za coś zupełnie naturalnego i nie ruszałem się wcale. Dopiero, gdy mnie Abdallah, z głośnym krzykiem radości, lecz bez względu na zwichniętą rękę i zranione kolano wyciągnął przemocą z pod grubej gałęzi, poznałem, jak niesłychanie sprzyjało mi szczęście! Z trudnością wdrapałem się na zabitego słonia i spytałem Abdallaha, w jaki sposób udało mu się tego kolosa zastrzelić.

Otóż rzecz miała się tak:

Abdallah stał pod drzewem i patrzał na mnie, a widząc, że podnoszę dubeltówkę i celuję ukośnie na dół, cofnął się mimowoli, przyczem wpadł w bagno i leżał przez chwilę jak długi na ziemi. Zaraz potem ujrzał blizko siebie głowę słonia, wziął więc dubeltówkę i z podziwienia godną zimną krwią czekał na moment, w którym słoń obróci głowę. Zaledwie się to stało, nacisnął cyngiel, huk straszny rozległ się i słoń, ugodzony śmiertelnie w lewą skroń, upadł martwy u jego stóp.

Po tym wypadku spotykałem się często jeszcze z słoniami, i nieraz groziło mi z ich strony wielkie niebezpieczeństwo, ale tak blizkim śmierci jak wówczas, nie byłem już nigdy!"



Ubite słonie w stepie Massai w Wschodniej Afryce.

Każdy posiada w ręku pewne żywioły szczęścia, które marnuje i zatraca wielokrotnie w pogoni za czemś nieuchwytnem, co nęci jego wyobraźnię.

Mało znani „wielcy ludzie.“

Koło schodów w gmachu biblioteki w St. Germain-en-Laye znajduje się gotycki nagrobek, a na nim dwie postacie: kobieca i męska. Mężczyzna nie ma ani pancerza ani przyłbicy — lewą ręką podpiera się na ramieniu jednej z kobiet, prawą trzyma tarcz, na której widać sześć róż i — trzy garnki.

Pod nagrobkiem tym spoczywały niegdyś w opactwie Notre Dame d'Hennemont zwłoki Wilhelma Tirel'a, zwanego Taillevent. Był on w 14 stuleciu wszechwładnym mistrzem kuchni i autorem pierwszej francuskiej książki kucharskiej, sławnej „Viander.“ Książka ta przechowała się aż do dziś i znajduje się w bibliotece wersalskiej.

Taillevent rozpoczął swoją karyerę jako kuchcik na dworze królowej Joanny Evreux, później wolno mu było, na dworze Filipa Walezyusza piec pieczenie na różnie, za panowania zaś dopiero Karola V. został mianowanym: „officier de bouche“. Umarł jednak jako szef kuchni Karola VI. Niektóre z jego przepisów przeszły do książek angielskich, niejedno zostało do dziś, jako fundament sztuki kucharskiej, a mianowicie sposób przyrządzania „coulis“ tj. glazury dla pieczeni z galerety nóżek cielęcych i t. zw. zup „potages Lyans“.

Jeżeli jednak sieur Taillevent ogranicza się tylko na gotowaniu potraw smacznych, to włoski jego kolega Scappi należy już do artystów w sztuce kucharskiej. Dzieło jego „Arte del Culinare“ zostało wydanem w r. 1610 w Wenecyi, nakładem Aleksandra Vecchi. Scappi miał przybranego syna Jana, którego chciał wykształcić na znakomitość kucharską i dla niego napisał mnóstwo „sentencyj,“ opartych na podstawie „ogniska kuchennego“. Kucharz powinien tak jak zręczny architekt budować arcydzieła na silnej podstawie i powinien opanować „istotę materyałów“, aby módz niemi umiejętnie rządzić. Kucharz powinien być zawsze trzeźwym, aby zachować dobry smak w języku i podniebieniu i skromnym, aby zachować delikatność uczuć swoich. Oprócz tego powinien posługiwać się sam narzędziami kuchennemi, powinien umieć rozpalić ogień i obierać warzywo. Z sumiennych opisów tego mistrza, dającego zarazem dokładne ilustracye do swych przepisów, widzimy, jaki postęp zrobiła sztuka kucharska pod koniec czasów średniowiecznych. A ile tam przeróżnych narzędzi. Widzimy rożna, trójnogi, noże do siekania mięsa, dmuchacze, rozmaite łyżki najdziwniejszych kształtów i sita, podobne do aeroplanów.

Bardzo ważnemi są garnki, miski — słowem to, co się zwykle na podróż zabiera. Są tam liczne głębokie miski, podobne do naszych form do legumin, zaopatrzonych w pokrywy; kilkanaście takich misek było zawsze przymocowanych do drąga, niesionego przez dwóch lub trzech pachołków.



Skład kości słoniowej firmy Mayer w Hamburgu wartości 500 000 marek.

O swoich własnych dochodach milczy mistrz Scappi, lecz pomocnikom wyznaczył dziennie w naturaliach: 3 funty chleba, 2 kubki wina, 1 i pół funta mięsa albo ryby i dosyć znaczną ilość masła i owocu. On sam czuł się wynagrodzonym „zadowoleniem“ gości i— ich dobrowolnemi datkami, oprócz tego należały do niego wszystkie odpadki: skóry, nogi, szyje i głowy zwierząt i pióra ptaków. Nie było to drobnostką, nikt bowiem nie kupował wówczas zabitych zwierząt.

Przygotowania wszelkie odbywały się w domu. Wędzono słoninę, gotowano miód, napychano kiszki i kiełbasy i pieczono pasztety, a wydzielanie i podział zapasów było jednem z najważniejszych zajęć szefa kuchni. To też dzieło wielkiego Scappi zaczyna się formalną historyą naturalną wszystkiego, co jeść można i pouczeniem, jak wypróbować dobroć wszelkiego materyału.

Inne rozdziały odnoszą się do pieczywa i kuchni dla chorych i rekonwalescentów oraz do rozmaitych orzeźwiających napojów. O gotowaniu miękkiego jajka istnieje 20 przepisów. Filozoficzne uwagi urozmaicają sosy imbierowe i mądre sentencye towarzyszą kluskom do garnka. Na każdej stronie zdaje nam się, że widzimy „cuoco-gentiluomo“ wędrującego w długim płaszczu po wązkich mostach Wenecyi i kupującego na Riva de'Schiavoni najświeższe warzywa, jakie się na targu znajdują, lub wysyłającego myśliwych aż do gór Karst, aby dostarczali ztamtąd zwierzynę, jakiej w Apeninach nie ma.

Inny „quen gentilhomme“ wsławił się równie swemi pieczeniami i nadto uwiecznił się w literaturze, która śmierć jego należycie uczciła. Był to ów „wielki“ Vatel, nadworny kucharz Ludwika XIV., który sławne życie swoje sam dobrowolnie zakończył. Pani de Sevigne poświęciła pamięci jego piękny ustęp w liście swym do pani de Grignan.

Śmierć jego tragiczna ogromne wówczas wywarła wrażenie. Zdarzyło się, że nawet temu sławnemu mistrzowi przypaliły się dwie pieczenie, przeznaczone na stół dworzan królewskich. Nieszczęśliwy człowiek przepędził noc bezsenną i z niecierpliwością oczekiwał następnego dnia, w którym postanowł się zrehabilitować. Lecz nieszczęście chciało, że nigdzie nie można było dostać odpowiednich ryb na obiad. Jak można było wydać obiad bez ryb! Vatel nieprzytomny z rozpaczy, poszedł do swego pokoju i przebił się sztyletem.

Następca jego Careme jest prawdziwym typem „dworskiego“ kucharza swego czasu. Pochodził on z rodziny sławnych kucharzy watykańskich; ojciec jego otrzymał nawet za wynalezienie przepysznej postnej zupy tytuł szlachecki od papieża Leona X. i nazwał się Jean de Careme, t. j. „z postu.“

Już więc dla samej tradycyi zajmował się Antoni Careme główne potrawami postnemi. Jako uczeń Richauta, sławnego twórcy rosołów na dworze Conde, był najpierw kucharzem, a potem gastronomicznym pisarzem w połowie przeszłego stulecia. Uczucie patryotyczne nie pozwalało mu opuścić ojczy-

zny — nie przyjął najświetniejszych miejsc za granicą i wrócił z służby króla angielskiego po kilku tygodniach do domu—tylko z tęsknoty za krajem. — Złe języki twierdziły, że kuchnia angielska była mu zanadto mieszczańską. Przyjął potem królewskie istnie miejsce w domu Rotszylda, z pensyą ministra, i tu czuł się bardzo szczęśliwym.

Lady Morgan opisuje bardzo zabawnie jeden z takich obiadów u Rotszylda. Bardzo była tego obiadu ciekawa ze względu na Carema.

„Gdy proszono do stołu, uczułam się niezmiernie wzruszoną. W wytwornym, w parku położonym, a za salę jadalną służącym pawilonie w Bois de Boulogne, zasiedliśmy do stołu, ozdobionego najpyszniejszą porcelaną i najkosztowniejszemi kryształami. Wszystko było — t. j. nakrycie — dziełem wielkiego mistrza Careme. Charakter obiadu odpowiadał pod każdym względem porze roku oraz istocie dnia i każda potrawa dawała nam nowy dowód wielkości swego twórcy! Zmienił on zupełnie sposób gotowania — ale jak, tego sama nie wiem! Po kawie przedstawiono pana Careme kilku wybranym osobom, do których i ja miałam zaszczyt należeć. Był to człowiek bardzo dobrze wychowany, bez wszelkiej pedanteryi, a gdy mu powinszowałam jego nadzwyczajnych umiejętności, odwdzięczył mi się kilku pochlebnemi słowami o moich dziełach, poczem ukłonił się i odszedł.“

Jak w każdym zawodzie, tak i w zawodzie kucharzy wielka powstała rywalizacya. Zagraniczni mistrze sztuki kucharskiej czynili co mogli, aby zaćmić kolegów francuskich, lecz usiłowania ich były daremne. Kuchnia francuska, a mianowicie paryska pozostała zawsze na pierwszem miejscu. Przed erą Rotszyld-Careme panowała zacięta nieprzyjaźń o kuchnią pomiędzy księciem Talleyrand i księciem Cambaceres, którego kucharz, pan Grand- Mauche, był przyjacielem Carema. Książe Cambaceres bardzo skąpy, nie chciał wydawać tyle pieniędzy, ile Grand-Mauche żądał, mówiono nawet o nim, że kazał odgrzewać potrawy — co w przekonaniu pana Grand-Mauche równało się grzechowi śmiertelnemu. Przysmaki zamykał sam w spiżarni, a po upadku cesarstwa stał się podobno jeszcze skąpszym. Taki pan był niegodnym wielkiego kucharza, a gdy dnia pewnego śmiał zamówić dla siebie porcyę kotletów — „podłych“ kotletów, wtedy uważali wszyscy koledzy pana Grand-Mauche za shańbionego! I żałowano go z głębi serca!

Lepsze stanowisko miał naturalnie Boucher, który na stół księcia Talleyranda wydawał obiady złożone z 20—30 potraw. To był dom prawdziwego wielkiego pana — tam kucharz brał sam z tego, co uważał za najlepsze, a pensya, jaką pobierał, równała się co najmniej pensyi Antonina Carema.

Sławnym był także Lepage, kucharz Napoleona, który mu nawet towarzyszył na św. Helenę. Można sobie wyobrazić przerażenie tego wielkiego człowieka, gdy znalazł tam nawpół zapadłą kuchnią — dymiące węgle — bez pieców do pieczenia, bez lodowni, i najlichszy materyał do gotowania. Szef kuchni bez bateryi garnków, tygli, patelni, to generał bez wojska! Lepage patrzał z obrzydzeniem na czterech Chińczyków, którzy mu pomagać mieli — gniewał się na Boga i na ludzi i opuścił cesarza, aby jak najprędzej wracać do świetnego Paryża.

Kilka miesięcy później posłała księżna Borghese swego kucharza Chandelier'a na św. Helenę. Chandelier oświadczył, że nie opuści cesarza, chociażby miał jeść wyłącznie zupę z mąki. Był jednak przezorniejszym, niż jego poprzednik i zabrał z sobą najrozmaitsze zapasy wszelkich przysmaków.

Inym wiernym sługą cesarza był kucharz Dunan, który podczas swego pobytu u księcia Conde zaczął się zajmować polityką i razem z cesarzem wyruszył na wojnę. Po umieszczeniu Napoleona na Elbie popadł w nędzę, lecz zaledwie cesarz wrócił, zajął i on dawne swoje stanowisko na dworze. Zupełny upadek Napoleona stał się powodem i jego upadku. Opowiadał on dużo szczegółów z życia Napoleona, znał jego gwałtowność, upór, uprzejmość i zamiłowanie do niektórych potraw, które codziennie musiały być na stole.

Dużo jeszcze było i jest sławnych kucharzy, tak w prywatnych domach jak w hotelach i restauracyach. Z kucharzy—restauratorów są najwięcej znani Rouget i Very, również i Baleine, wynalazca kapsułek bulionowych.

U nas nie wielu jest restauratorów, którzy sami gotują i chociaż kuchnia polska odznaczała się zawsze wybornemi potrawami, to jednak nie mieliśmy nigdy kucharzy, których pamięć wieki przetrwała. Nie znaleźlibyśmy u nas drugiego Brillat-Savarina, który orzekł, że „wynalezienie dobrej potrawy więcej znaczy dla szczęścia ludzi, niż odkrycie nowej gwiazdy.....“

Bywają jednostki tak pokorne i nieśmiałe, i tak przekonane o swych brakach, że im się zdaje, iż w niczem nie mogą być pomocne drugim; cofają się w głąb siebie, zamykają w piersi ból swój i upokorzenie i przechodzą przez życie ciche i zapoznane, a nieraz lekceważone i wzgardzone, nie ujawniwszy nic ze skarbów ukrytych w swojej duszy.

Hygiena.

Zniekształcenie stopy.

Wobec powszechnego dziś ukrywania rozmaitych zboczeń w budowie ciała za pomocą odzieży, wiele zniekształceń uchodzi naszego oka i zdaje nam się, żeśmy wszyscy zgrabni, piękni i kształtni, a przeto mało zabiegamy o usunięcie tych zboczeń, które można usunąć.

Stosunkowo rzadko się spotyka zniekształcenia stopy, a przecież są one nader dotkliwe, zwyczajem jednak ogólnym częściej je ukrywamy aniżeli usiłujemy usunąć. A przecież to ostatnie często osiągnąć by można niewielkim nakładem.

W środowiskach nędzy, jako następstwo złych warunków hygieny oraz krzywicy dość powszechnem zjawiskiem bywa t. zw. *stopa szpotawa*. W dawnych czasach zniekształcenie to osiągano sztucznie, w celu wyzyskiwania miłosierdzia publicznego na rzecz tak okaleczonych ofiar bądź w dziecięctwie, bądź też nawet w wieku starszym.

Szpotawość stopy polega na wyjściu jej ze stawu, przez co podeszwa nie może przylegać do ziemi.

Jeżeli stopa brzegiem zewnętrznym zwraca podeszwę do wewnątrz, mamy wówczas stopę szpotawą właściwą (varus); jeżeli zwraca się brzegiem wewnętrznym nazewnątrz — co zdarza się rzadziej — mamy stopę koślawą (valgus). Stopa końska (equinus) stąpa na palcach — niby u tancerzy — zdarzając się jeszcze rzadziej aniżeli stopa koślawa. Wreszcie stopa piętonoga (talus) wspiera się jedynie na pięcie.

Zdarza się też niekiedy połączenie paru powyższych zniekształtnień, np. stopa szpotawa może być zarazem końską, jednak są to wypadki rzadsze.

Skąd pochodzą te zniekształtnienia? Pytanie to należy rozwiązać, skoro pragniemy nieprawidłowości takie usunąć.

Co do stopy szpotawej, to zaznaczyć należy,że zboczenie to jest tylko dalszym ciągiem ułożenia fizyologicznego nóg płodu w łonie matczynem. Jeżeli wówczas wydarza się jakiś ucisk zwiększony pod wpływem rozmaitych przyczyn na kończyny dolne, wówczas utrwala się położenie stóp, jakie zajmowały przed urodzeniem.

Szpotawość stopy występuje też przypadkowo, dopiero z czasem, wywołana bezwładem pewnych mięśni u dziecka, przyczem następuje działanie jednostronne ich mięśni przeciwniczych i stopa skierowaną bywa w bok, wprzód

lub w tył. Wiadomo, że w stanie zwykłym kości są utrzymywane w swem położeniu przy udziale mięśni, które działają jednakowo w kierunkach odmiennych. W razie przerwy w działaniu mięśni jednego kierunku, zależny od nich narząd zmienia swe położenie, jak to np. wydarza się przy zatruciu ołowiem; mięśnie wyprostne przedramienia zostają dotknięte bezwładem, a wówczas mięśnie skurczne, umieszczone po stronie przeciwnej przedramienia, działając w dalszym ciągu, powodują zupełny zacisk palców i kiści, przyczem powstaje t. zw. *ręka szponista*. Zupełnie podobnie tworzy się też noga szpotawa; zresztą szpotawą może być i ręka.

Jeżeli słychać niekiedy, że szpotawość bywa wywoływaną przez rodziców, jest w tem połowa prawdy.

Zdarzają się oczywiście niegodziwcy, co zniekształcają kończyny nóg dzieci, stosując ciasne opaski i przyrządy, doprowadzające je do zaniku. Zwyczaj ten do niedawna stosowano do dziewcząt w Chinach; coś podobnego właśnie czynią żebracy, doprowadzają nogi do stanu niby cienkiego wrzeciona, jednak jest to zupełnie co innego, aniżeli szpotawość. Udział rodziców w powstawaniu szpotawości u dzieci ujawnia się w daleko większym zakresie pośrednio, mianowicie skoro dają im życie, będąc w stanie nietrzeźwym.

Usunięcie szpotawości często bywa zupełnie możliwem drogą zabiegów ortopedycznych, niekiedy zaś wymaga rękoczynów chirurgicznych.

Zupełnie co innego jest *stopa płaska*. Wiadomo, że podeszwa ma kształt lekkiego sklepienia. Pomiędzy piętą a podstawą palców istnieje znaczna wklęsłość ku górze, co łatwo jest sprawdzić naocznie lub dotykiem. Otóż wklęsłość ta w stopie płaskiej jest nader mała, albo nie istnieje wcale i podeszwa przystaje do ziemi całą swą powierzchnią. Chód staje się wówczas utrudnionym a nawet bywa bolesnym, ponieważ za każdym krokiem uciskane są naczynia krwionośne.

Dolegliwość powyższa powodować też może następstwa niepożądane w całym stanie zdrowia i przyczyniać się do pewnych stanów chorobnych. Szczęściem można ją przeważnie zawsze usunąć a przynajmniej zmniejszyć przez używanie odpowiedniego obuwia.

Obok powyższych zniekształtnień stopy, uznawanych za takie, istnieją inne, lekceważone zazwyczaj, bo są powszechne. Mówimy tutaj o sztucznem zwężaniu przedniej części stopy w ciasnem obuwiu, przez co palce odbiegają od osi stopy. Wynikiem tego są: utrudnienie chodu, dokuczliwe nagniotki oraz krępowanie normalnego krwiobiegu. Ażeby tego uniknąć, należy nosić obuwie, przystosowane do kształtu stopy (o szerokich nosach). Zły kierunek palców naprawić można chodzeniem boso, co jednak wymaga czasu dłuższego.

„Ruch."

Przeciągłe, łzawe, gdy zabrzmiały, dzwony,
A lud przed Krzyżem taki rozmodlony
I śpiewa pacierz pogrążon w żałobie —



Japonki.

Smutek nad Ojczyzną.

Roniłem deszczu żywego potoki,
Kiedym nasz zwiedzał kraj długi, szeroki,
Od wód Bałtyku aż po Karpat szczyty,
A od Dunaju po góry Sudety.
Lasze te ziemie myślami — strzałami
Przebiegłem rosząc gorącemi łzami,
Tak mnie ta ziemia dziwnie rozrzewniała,
Bo wszędzie tęskna, skarżąca się cała.
Bory w tęskliwej zadumie szumiały,
Wierzby przy strugach płaczem szeleściały,
Pola i wody i sioła i grody
Pieśń tajemniczo śpiewały żałoby.

Poznałem żałość na Ojczyzny grobie...
Patrzę w oblicze ludu gnębionego,
On wie, że cierpi z dopustu Bożego,
On wie, że cierpi za swych przodków grzechy,
Więc wytrwa w cnocie; — cnota zbawi Lechy,
Bóg nie opuści z ziem zabranych ludu,
Zabłyśnie jutrznia, dzień nadejdzie cudu.

Wiszn., czeladnik z nad Wisły.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 16-go lutego 1241 Tatarzy pogrążeni pod Turskiem. — 1704 otwarcie sejmu w Warszawie na żądanie Karola XIV.

Dnia 17-go lutego 1386 koronacya Władysława Jagiełły. — 1387 Władysław Jagiełło przywilejami obdarza Litwę. — 1574 wjazd do Krakowa Henryka Walezyusza.

Dnia 18-go lutego 1454 Prusacy składają przysięgę wierności w Krakowie.— 1577 sejm ustanawia stałe podatki. — 1634 poddanie się Moskali pod Smoleńskiem. — 1726 śmierć hetmana Adama Sieniawskiego. — 1831 rozprawa z Moskwą pod Okoniewem. — 1846 rozpoczęcie rzezi galicyjskiej.

Dnia 19-go lutego 1473 urodzenie Mikołaja Kopernika. — 1578 Stefan Batory ustanawia trybunały w Piotrkowie i Lublinie. — 1594 koronacya w Upsali Zygmunta III. na króla szwedzkiego. — 1629 bitwa ze Szwedami pod Górznem. — 1613 sejm nadzwyczajny z okoliczności konfederacyi wojska. — 1831 bitwy z Moskwą pod Wawrem i Ryczywołem. — 1831 zawiązanie towarzystwa patryotycznego podolskiego.

Dnia 20-go lutego 1387 porównanie w przywilejach szlachty litewskiej z koronną. — 1494 księstwa oświecimskie i zatorskie do korony wcielone. — 1662 protestacya przeciw obieraniu następcy tronu. — 1831 początek grochowskiej potrzeby.

Dnia 21-go lutego 1544 koronacya Zygmunta Augusta. — 1569 śmierć hetmana Mikołaja Sieniawskiego. — 1574 koronacya Henryka Walezyusza. — 1613 Maryna Mniszchówna utopiona przez Moskali.

Dnia 22-go lutego 1382 założenie Częstochowy. — 1387 chrzest Litwy. — 1607 odnowiony rokosz Zebrzydowskiego.

Humor i satyra.

Bajeczka wschodnia.

Dusiło czterech Turka! Ten, pomimo bólu,
Śmieje się, aż dusiciel jeden spyta: „Królu!
Skąd do śmiechu w tej chwili nabrałeś ochoty?"
Turek na to: „Gdy widzę wasze siódme poty,
Wasz trud, to śmiać się muszę, chociaż jestem zrzędą,
Bo, gdy mnie udusicie, wnet was dusić będą."

* * *

To znowu co innego.

Kupiec beszta swego buchaltera, że pomylił się w rachunku dla Pacyńskiego. Cyfry nie zgadzają się w żaden sposób... Muszę pana oddalić.

Buchalter: — Przepraszam pana pryncypała, pomyliłem się o 25 marek; lecz to na szkodę Pacyńskiego, a na nasz zysk.

Kupiec: — A to znowu co innego. W takim razie zatrzymam pana i podwyższę mu pensyę.

* * *

U studni.

Władek do Marysi: — O, moja ty Maryś, daj gęby u studni.
Bo ja ciebie kocham, aż mi w sercu dudni. Oj dana!

* * *

Przygoda lekarzy.

Do łoża chorego zawołano lekarza Gurowicza; kiedy wszedł do pokoju, zastał przy łożu swego kolegę doktora Cyfrowicza. Nic nie mówiąc, usiadł przy chorym i wsunął rękę pod pierzynę, celem zbadania pulsu. To samo uczynił Cyfrowicz. Gurowicz liczy raz, dwa i trzy it. d., patrząc na zegarek. Po chwili woła: — Ależ to puls normalny zdrowego człowieka.

Boś pan badał puls mojej ręki — rzekł z uśmiechem szyderczym Cyfrowicz.

* * *

Iskry humoru.

Gospodarz domu: (do panny, która po całych dniach fałszywie śpiewa „Na skrzydłach mojej pieśni"!

A! mam już tego dość! Proszę się na pierwszego wyprowadzić! „Na skrzydłach pani pieśni" już mi pięciu lokatorów wyleciało z kamienicy!

* * *

Buchalter: (nie może odszyfrować podpisu na liście) A to chyba dyabeł potrafiłby to przeczytać! (do kasyerki) Może pani to odgadnie, panno Juljo!



Sędzia: Człowiecze, musiałeś chyba obracać się w złem towarzystwie.
Złodziej: Panie sędzio, od dwudziestego roku życia tylko z sędziami mam do czynienia.

Kasyerka: (czyta) „Karol Łempiński".

Buchalter (kontent) O! pani jesteś prawdziwym aniołem!

* * *

Także miał słuszność

— Powiedz mi mój Adamku — pyta się nauczyciel ucznia — co trzeba przedewszystkiem czynić, aby się dostać do nieba?

— Trzeba przedewszystkiem zachorować.

— Jakto! Co ty pleciesz?

— Nie plotę, tylko mówię prawdę, bo jak się nie zachoruje, to się nie umrze, a jak się nie umrze, to się nie może dostać do nieba.

* * *

Kiepski wynalazek.

— Jakiś profesor wynalazł buty, w których można prosto chodzić po wodzie. Nie sztuka! Niech oni wynajdą buty, w którychby można prosto chodzić — po wódce.

* * *

Hygroskopijny.

— Mamusiu, co to znaczy hygroskopijny!

— To znaczy wchłaniający w siebie wilgoć, płyny.

— Aha, to tatuś jest hygroskopijny, bo wchłania w siebie dużo piwa.

* * *

Nieporozumienie

(Rzecz dzieje się na pensyi.)

Nauczycielka. Cóż powinna czynić każda niewiasta, zanim uda się na spoczynek? Powiedz Zosiu!

Zosia milczy.

Nauczycielka. Cóż robi twoja mama bezpośrednio przed pójściem spać?

Zosia. Odpina sztuczny warkocz i wkłada fałszywe zęby do szklanki z wodą.

* * *

Do czego mapa?

Pewien włościanin, który profesorowi drzewo przywiózł, patrzył z podziwieniem na mapę wiszącą na ścianie i nie mógł odgadnąć, coby te różne kreski znaczyć miały. Na zapytanie jego, wytłumaczył mu profesor, że to karta, na której są morza i wszystkie miasta i rzeki.

— A Berlin jest też? — zapytał chłopek.

— Jest oto tu! — wskazał mu profesor.

— Ach to niech wielmożny pan profesor będzie taki dobry i zajrzy, co mój syn robi, który jest tam w wojsku.

* * *

Fortuna.

Któż się pochełpi, że pani Fortuna
Stale go swemi względami zaszczyca? —
Nikt! — A kto winien? — Wszyscy do pioruna!
Za wiele gachów ma ta kapryśnica.

* * *

Postęp.

A. Jakie postępy robisz w stenografii?

B. Doskonałe, już zdołam kazanie mojej żony stenografować.

* * *

Myśli zwierząt.

Ta nowa siła nie źle ciągnie, lecz rżeć jak ja jednak nie potrafi — powiedział koń patrząc na pędzący tramwaj elektryczny...

Najprzód interes, a potem przyjemność — mruczał kot, chrupiąc złowionego ptaka....

Coby robili ludzie, gdybym niezanieczyszczała luster — brzęczała sobie mucha....

Gada sam nie wiedząc co — zawyrokowała papuga, wysłuchawszy prelekcyi filozofa....

Nie gniewaj się na mnie, kochane słonko, że mojem pianiem zmuszam cię do wstania — rzekł prostoduszny kogut....

Róża jest do mnie podobna, ponieważ także ma kolce — zauważył jeż....

Niech cię Pan Bóg wynagrodzi — oświadczył wdzięczny rak, gdy go kucharka włożyła w zimną wodę, do garnka na kominie....

* * *

Genialny tate, żydek galicyjski.

— Mojsie! Co ty sie dzisiaj uczył w szkole? — pyta tate swojego synka.

— Takie pinkne wirsze od pana Wincenty Pol, co to wszystkie polskie dżeczi muszą umieć na pamięcz.

— No, to powidz mi te wirsze...

Mojsie deklamuje:

„Patrz! Maryacka wieża stoi...

— Aj waj! — przerywa mu tate. — Jakie to głupie te polskie wirsze! Co to takiego dżywnego, że ona „stoi?“ Czy ona ma „leżyć?“ albo „skakać?“

Rebus.



Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 20-go lutego włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższego rebusa.

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej przesyłali rozwiązania zagadek **tylko na pocztówkach.**

Rozwiązanie zagadki z nr. 5-go.:

G e n i u s **z**
a r n i k **a**
b i s k u **p**
r y z y k **o**
j a n k i e **l**
e s k i m o **s**
ł a t a r n i **k**
a r t y l e r j **a**

Gabrjela Zapolska.

Tym razem otrzymaliśmy tyle trafnych rozwiązań, iż dla braku miejsca nie możemy zamieścić bardzo długiego spisu osób, które nadesłały dobre rozwiązania.

Nagrodę otrzymali: pp. P. Rosowicz z Obudna w powiecie żnińskim, Tosia Bilska z Biniewa, Waleryan Kożycki z Marten, M. Łuka z Berlina.



Nasz kącik.

Polskie serce i serduszko....

Polskie serce i serduszko,
Czy wiesz kto to był — Kościuszko?
Czy ci znana wzniosła dusza
Naczelnika Tadeusza?
Ach, czcij, kochaj go i znaj
Tak jak on nasz kochał kraj!
Któż dziś jego cnoty zliczy?
Kochał on lud rzemieślniczy
I jak cała Polska długa,
Kochał braci tych od pługa.
Wzdłuż, wszerz kochał cały kraj
I ty kochaj go i znaj!
Bił się, walczył za Ojczyznę
Za jej pola bujne, żyzne,
Wiódł na wrogów, na złe sępy
Braci — kmieci swych zastępy.
Chciał kosami odbić kraj,
Czcij go za to, kochaj, znaj!
On wniósł wolność na próg chaty
I serc tylko chciał zapłaty
I odziany w strój sukmany,
Szedł na czele wódz kochany,
By ratować polski kraj,
Czcij go za to, kochaj, znaj!
Jak lew bił się, wtem, padł z konia,
Zrumieniły się krwią błonia,
Każda rana parzy, boli,
Nasz naczelnik ach, — w niewoli...
Padł, chcąc bronić miły kraj,
Czcij go za to, kochaj, znaj!
Polskie serce i serduszko,
Wiesz gdzie leży nasz Kościuszko?
Na Wawelu, hen, w Krakowie. —
Gdy ci Bóg da grosz i zdrowie,
Dąż do jego grobu stóp,
Wiernej służby złóż mu ślub:
Naczelniku — bohaterze,
Oto ci ślubuję szczerze
Służyć Polsce duszą całą,
W życie prosto iść i śmiało,
Kochać lud, kraj, ojców próg,
Tak niech mnie wspomoże Bóg!

P. W.

* * *

Odpowiedzi i pogadanka.

Fiołek. Września. Pewnie Fiołek z Babina pomyśli, że to dla niego liścik? Ej, nie, nie dzisiaj jeszcze, wpierw mi od niego parę słówek się należy! Ot, wiosenka zbliża się, więc i fiołeczki tu i tam główki podnoszą, a jeden, milutki, we Wrześni mi zakwitnął. Niechże ci Pan Bóg błogosławi i zapłaci za modlitewki! Itka i Janka Szumlańskie. Przeczytałam liścik cały, lecz nie mało mam z nim troski ,bo, dziewczynki zapomniały daty, no i nazwy wioski. Próżno pytałam paluszka, nic mi nie szepnął do uszka. Za ofiarę serdecznie dziękuję, ponieważ jednak teraz już pieniędzy nie zbieram, więc 1 mk. oddałam w „Dz. Pozn.“ dla starca weterana. Przed tygodniem było tam pokwitowanie. Wasza mała Wandulka ogromnie mi się z opisu podoba. Niezapominajka z Kostrzyna, Jaskółka z niewoli, Pszczółka z Kurnika. Staś, Maryś i Kazik Ochenduszkowie. Lisko. Sokół z nad Czarnej Wody. Orlik z pod Ostrowa. Bardzo mnie to cieszy, że wam się nagrody podobały i że dobre serduszka zaraz za nie podziękowały. Przykro mi Niezabudko moja i Jaskółeczko, że takie już duże jesteście i „Kącik“ was wkrótce pewnie utraci, ale dobrze dziewczątka kochane, iż myślicie za wczasu o przyszłości, by był sobie zapewnić. Niech wam Pan Bóg pomaga! Pszczółka. A toż to od was cała paczka wybiera się na zjazd! Byleby on tylko mógł dojść do skutku, bo dużo mam teraz trosk i zmartwienia. Co myślisz Sokoliku, czy drugi dzień Zielonych Świątek byłby dniem lepiej na zjazd nasz obranym? Wolno w tej sprawie każdemu z dzieci wypowiedzieć swe zdanie, lub radę jaką podać. Może w końcu kwietnia będę wam mogła stanowczo powiedzieć, czy nasz zamiar spełni się, lub nie. Tymczasem zaś raz jeszcze *bardzo, bardzo* proszę, jeżeli wasi Rodzice z jakiegokolwiek względu nie życzą sobie zjazdu, dzieci kochane, nie napierajcie się, nie żądajcie tego koniecznie, nie grymaście! Nieobecnym, „Kącik by wszystko opisał, a przyjaciółka żalu by w sercu nie miała. Stasiu, Marysiu, Kaziku i Orliku. Ogromnie mi was żal, że i w waszych młodziutkich serduszkach gości już ból i troska o najdroższych. Z całego serca życzę, by Pan Bóg smutek odmienił, by w waszych domach znów zapanował spokój, radość i ogólne zdrowie! — I oto znowu zbliża się czas męki Pańskiej. Czemże dobre, wdzięczne dzieci okażą cierpiącemu Chrystusowi swą miłość, żal za grzechy i współudział w cierpieniu? Czy swarami, kłótnią i gniewnemi wybuchami, do korony Jezusa nowych, najboleśniejszych dołożą cierni? O, nie! Prawda? Wszak lepiej choćby do krwi ugryźć się w języczek, byle nie dopuścić do tego! A może wy języczkom jeszcze jedną zadacie karę, wyrzekając się na czas jakiś w wielkim poście karmelków, lub czekolady i ciasteczek, co, jak myślicie?, Pamiętajcie jednak, że łamać zobowiązania *nie wolno* i słowa nawet tylko samemu sobie danego, dotrzymać *trzeba*, więc kto nie jest pewny swej silnej woli, niech lepiej nic nie postanawia! Z Bogiem, z Bogiem moje drogie dzieci! śle wam uściski przyjaciółka *P. W.*

* * *

Prawdziwy obrazek z przed pół wieku...

(Ciąg dalszy).

Oddział pod dowództwem Langiewicza zebrawszy broń zdobytą i rannych, cofnął się ku miasteczku — Wąchock. Nad ranem ścisnął lekki mrozik i wilgotna wpierw ziemia stężała, zamieniając się w grudę. Rannych złożono na chłopskim wózku, wysłanym słomą, ale gdy wóz podskakiwał na grudzie, z ust chorych wydobywał się jęk boleści i krew obficiej z ran płynęła, grożąc biedakom rychłą śmiercią. To też napotkawszy w drodze dużą, zasobną karczmę oddział zatrzymał się na chwilę. Właściciel karczmy był żydem, ale uchodził on za dobrego Polaka, tu więc złożono chwilowo kilku cięższej rannych, a wśród nich i Stefanka. Zrobiwszy świeży opatrunek i polecając chorych opiece żydówki-karczmarki, lekarz szybko ruszył za oddalającym się oddziałem. Stefek zgorączkowanem, niespokojnem okiem wodził po okopconych ścianach izby. Wokoło niego leżeli na ławach złożeni towarzysze boju. Po izbie kręciła się stara karczmarka, szwargocąc głośno z stojącym przy drzwiach wyrostkiem, a brudna i obdarta wieśniaczka szorstkiemi rękoma podsuwała chorym pod głowę zbrukane, żydowskie bety. Stefek wstrząsnął się z obrzydzeniem i zemdlał ponownie. Gdy się ocknął, nie umiał sobie zdać sprawy, gdzie się znajduje. Nad nim stała pochylona dziewczyna, jakiś napój wlewając mu w usta. „Pij paniczu, pij, szeptała po cichu, trzeba się wzmocnić!“ W tej chwili szynkarka weszła do izby, więc dziewczyna szybko od ławy odskoczyła, lecz gdy po chwili żydówka wyszła, służąca przypadła znowu, jednym tchem szepcąc: „Paniczu korzystaj z chwili, gospodarze modlą się teraz, uciekaj! Oni do miasta dali znać o was, za godzinę Moskale tu będą, uciekaj, jeżeli ci życie miłe! Ja rozumiem ich szwargotanie, słyszałam jak chłopaka z wieścią wysyłali, uciekaj paniczu! Stefek słuchał i patrzył jak oniemiały. Nie trać czasu, paniczu! Mnie ciebie żal, takiś młody... Na prawo, za młynem, czeka mój brat z wozem. Przyjechał do młyna po mąkę, wstąpił tu na kieliszek, prosiłam go; on cię kawałek podwiezie...“ Stefek dźwignął się i spojrzał wokoło. „Mam uchodzić? sam? A moi towarzysze?“ „Jeden już ledwie zipie, a tamci dwaj tacy słabi, że ujść by nie mogli. Łyknij jeszcze paniczu, to szabasowe wino, ulałam go żydom z butelki, ono cię wzmocni — i dziewczyna prawie przemocą wlała pokrzepiający płyn w usta Stefanka. Poczuł się silniejszym, uścisnął jej rękę i szepnąwszy Bóg zapłać, chwiejnym krokiem wysunął się z izby. Owiało go orzeźwiające powietrze wieczoru, ciemność otoczyła go w koło. Dziewczyna lekko popchnęła go na prawo. „O, tam, paniczu, światełko miga we młynie, a pod drzewami stoi wózek brata, idźcie z Bogiem!“ Stefek ruszył żwawiej, a chłop wyszedłszy na przeciw, ujął go niespodzianie w pół i jak dziecko ułożył na wozie, między workami mąką napełnionemi, poczem wszystko razem płachtą nakrył i ruszył. Osłabiony upływem krwi chłopiec usnął znowu. Jak długo spał, nie wiedział, obudził się w lesie, chłop stał nad nim i za rękaw ciągnął. „Trza już wysiąść paniczu, wieś nasza blizko, a tam nie wszyscy wam sprzyjają, Bóg wie, coby was spotkać mogło.“ Stefek na pół jeszcze śpiący i oszołomiony, ledwie szepnął słowo podziękowania i nie wiele myśląc ruszył przed siebie. Gorączka piekła mu usta, głód skręcał wnętrzności. Szedł, zataczając się jak pijany, wreszcie czując, że siły go opuszczają, legł na miękkim mchu, wśród gęstych zarośli. Ostatkiem sił sięgnął i z za czamarki wydobył złoty krzyżyk i medalik z Częstochowską Panienką, ostatni dar matki. Ucałował święte pamiątki, drżącą ręką przeżegnał się i usnął.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Wiktor Gomulicki.

BÓJ OLBRZYMÓW.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

48)

(Ciąg dalszy.)

Blady, milczący, zdenerwowany Napoleon uderzał niecierpliwie spicrutą po zakurzonych botfortach i co chwila przykładał do oczu lunetę. Twarz jego wyrażała rozdrażnienie. Marszczył się, usta krzywił, z nogi na nogę przestępował. Nagle pochylił się całym tułowiem naprzód, i silnie przyciskając szkło do oczu, na długą chwilę w tej pozycyi znieruchomiał.

Nagle do towarzyszów się zwrócił.

— Patrzcie!... patrzcie!...

Wskazał im ręką punkt oddalony.

Skierowali szkła w tamtę stronę; on tymczasem pytający wzrok na nich zawiesił.

— Tak, najjaśniejszy panie, tak!... — zaczęli jeden po drugim. — Ten na prawo to Barclay de Tolly... Ten na lewo — Bagration...

Twarz cesarza w jednej chwili cudownie się przemieniła. Rozpogodzony, wesoły, wewnętrzną radością promieniejący, głosem najwyższego zadowolenia i tryumfu zawołał:

— *Enfin, je les tiens!*

Natychmiast wszyscy dosiedli koni. Adjutanci rozlecieli się na wszystkie strony z rozkazami.

Davoutowi i hrabiemu de Lobau kazano stanąć po prawej stronie korpusu Neya. Gwardya, do rezerwy przeznaczona, zajęła środek. Nieco dalej wskazano miejsce armii włoskiej. Junot i pułki Westfalskie miały działać łącznie. Murat i Poniatowski tworzyli prawe skrzydło: cofnięto ich na skraj małego lasku, pozostawiając wielką pustą przestrzeń, ciągnącą się aż do Dniepru. Tu zwabiony miał być nieprzyjaciel. Tu zadana być mu miała ostateczna klęska, kres całej kampanii kładąca.

Scena była wykończona, aktorzy do występu gotowi, lecz, — światła zabrakło. Noc zapadła wyjątkowo ciemna, prawie czarna. Z dłonią przy szabli, z palcem na cynglu, z lontami zapalonemi czekać musiano rozświtu.

W obozie francuskim i polskim, a niezawodnie też i po stronie przeciwnej, mało tej nocy spano. Napoleon i książę Józef oka nie zmrużyli. Nie pomyśleli też o spoczynku kapitan Mroczek i porucznik Zefiryn.

Pierwszy wczytywał się w Homera i układał elegie, z „Żalów Orfeusza za straconą Eurydyką“ naśladowane. Drugi, przy pomocy ordynansa, oraz krawca pułkowego, przygotowywał strój paradny, odznaczający się wielkim w najdrobniejszych szczegółach wykwintem. Oficerowie polscy, za przykładem swego wodza, stroili się zawsze przed każdą bitwą, jak na bal. Cesarz niecierpliwy, jak spieszący na pierwszą schadzkę kochanek, kazał rozbić swój namiot prawie na samej linii bojowej. Napróżno rozważniejsi generałowie ostrzegali, że armie rosyjskie mogą bitwy nie przyjąć — nie słuchał ich i co chwila z lunetą przy oczach, przed namiotem stawając, ruchy Rosyan badał. Podniecona wyobraźnia kazała mu widzieć w mroku szykujące się do boju kolumny piechoty, uwijającą się jazdę, przetaczane działa...

Przed samym świtem zdrzemnął się trochę. Gdy oczy otworzył, już się rozwidniło. Wybiegł przed namiot, spojrzał przez lunetę, i — ręce mu opadły.

W otwartym polu nieprzyjaciół ani śladu...

Schronili się do miasta i zamku.

Na tworzenie nowych planów nie było czasu. Z jednego z przedmieść już się kule rosyjskie sypały.

Powiódł tam natychmiast swą „wiarę“ Poniatowski. Gdzie się Polacy, a zwłaszcza, gdzie się pułki księcia Józefa ukazały, tam już pardonu nie było. Choć nieprzyjaciel rozwinął silny ogień karabinowy, wspomagany przez działa z murów bijące, przedmieście zostało wzięte, wojsko i mieszkańcy na inne miejsce przepłoszeni.

Lance, szable i bagnety prą dalej. Przedmieście po przedmieściu wpada w ręce Polaków, których ożywia zapał niesłychany. Rzekłbyś, że to powstali z grobów junacy Żółkiewskiego. Od tamtych nawet dzielniejsi, bo pierś nie opancerzoną, lecz bezbronną na pociski wroga przemożnego wystawiają.

Pod murami miejskiemi ustawiła się rosyjska dragonia. Kozacy, jak sępy, ze wszech stron szarpią naszych. Ale przybył Sułkowski z ciężką jazdą polską. Pcha się naprzód, krzycząc strasznie, pułk drugi woltyżerów Księstwa Warszawskiego. Nie próżnuje ze swej strony i Murat, którego kołpak, ze strusiemi piórami, niby bukiet różnobarwny, to tu, to owdzie, z dymu prochowego wykwita... Już są nasi pod miastem, chwila jeszcze, a w mieście się znajdą.

W tej chwili do cesarza przygalopował generał Dalton, ze sztabu Davouta.

— Najjaśniejszy panie! — mówi zdyszany — wróg w pole wyciągnął!...

Cesarz przyzywa Neya, Murata — Poniatowskiemu rozkaz nowy posyła.

W istocie pułki rosyjskie, wychodzące z miasta, formujące się jakby do bitwy.

Napoleon promienieje. Szpicrutą ćwiczy buty i konia, który staje dęba. — *Je les tiens!... je les tiens!...* — co chwila powtarza.

Ciężki Ney, teatralny Murat, bohaterski Poniatowski — wszyscy trzej nieustraszeni, lecz rozważni — rozpatrują się pilnie w położeniu.

— *Sire!* — przypada Ney z ostrzeżeniem. — To nie atak... To ucieczka!

— Najjaśniejszy panie! — potwierdza Murat. — Oni, jak zawsze, zmykają.

Upór i samołudzenie się Napoleona nie mają granic. Uwagi przyjaciół wzruszeniem ramion przyjmuje. Przyzywa adjutantów: rozkaz ogólnego ataku wydawać zamierza...

W tej chwili silny wiatr rozwiał wiszące nad miastem i okolicą dymy; widok odsłonił rozległy.

Niestety, już i cesarz wątpliwości mieć nie może. Widać wyraźnie, po tamtej stronie Dniepru, szeroki gościniec, w stro-

nę Moskwy wiodący, a na tym gościńcu, cofające się pospiesznie, choć w porządku, korpusy Bagrationa i Barclaya.

Twarz cesarza stała się szara. Ale się zaraz z przygnębienia otrząsnął.

— Ścigać ich! — piorunującym głosem krzyczy. — Ogniem prażyć! Siec, kłóć, kartaczować!

Zerwał się wściekły huragan krzyków, klątw, wystrzałów. Tysiące kul posłano za uciekającymi. Nie odpowiadali na nie. Ale wyręczała ich w tem silna aryergarda, pozostawiona w murach dla obrony miasta. Pociski z blanków fortecznych, z bastyonów, z potężnych wież czworobramnych dziesiątkowały armię oblężniczą.

Cesarz wpadł w furyę. Zapominając, że jego wojska odgradza od tamtych bystra i głęboką rzeka, drze się:

— Ścigać! ścigać!

Dostrzegł fale, więc na strzemiona się wspina, rozkaz rzuca:

— Wpław!

Rozkaz rozniosły trąbki. Liczne pułki jazdy skoczyły do rzeki, nie szukając brodu, który znajdował się o wiorstę dalej. Fala uniosła i potopiła kawalerzystów. Ci, co rzekę przebyli, znaleźli przed sobą gęste zarośla, głębokie parowy — nieprzyjaciół ani śladu.

Cesarza szał ogarnął. Wypuścił konia, wyciągniętym galopem, przez krzaki, kamienie i doły, pędził długo na oślep. Z trudem go powstrzymano, zwrócono.

Zatrwożył się o szwagra Murat. Wymownie mu przekłada, że to walka bezowocna. Cesarz argumentów nie słuchał, od męża swej siostry z gniewem się odwrócił. Murat. w efektach teatralnych zamiłowany, przyklęka przed nim na jedno kolano, ręce błagalnie wyciąga. Z patosem wielkim mówił, prawie krzyczał, że mu nie chodzi o życie własne, lecz bronić chce od niechybnej, a niepotrzebnej zguby dzielnych Francuzów, bohaterskich Polaków...

Napoleon zaciął usta, brwi zsunął, ściągnął uzdę — konia w inną stronę obrócił.

Murat prędkim, tragicznym ruchem dosiadł swego wierzchowca, do walczących szeregów puścił się galopem. Po chwili, widziano go w punkcie najgroźniejszym, gdzie zdala poznać go mógł każdy po sutym pióropuszu, po aksamitnym, z haftami złotemi płaszczu. Zagrzewał wszystkich do walki, w najsłabszych wlewał męstwo swym gestem bohaterskim — sam odsłaniał pierś i nadstawiał czoło piekielnej ulewie pocisków, sypiących się z miasta i zamku.

Już pióra na jego kasku od kul były postrzępione, już rozwiany, przestrzelony płaszcz wyglądał, jak rzeszoto — on z miejsca się nie ruszał, szablą nagą potrząsał, konia ostrogami bódł — zdawało się, że w hipogryfa go przemieni.

Przypadł do niego jeden z towarzyszów broni.

— Generale — zakrzyknął — ludzie dokoła ciebie setkami padają. Czy chcesz, żeby tu wszyscy śmierć znaleźli?

Oprzytomniał na chwilę, błędnym wzrokiem po trupach i ranionych potoczył.

— A więc — podniesionym głosem rozkazał — niech wszyscy stąd odejdą! Ja sam pozostanę.

Szukał śmierci... Ale śmierć omijała go — bowiem czas jego jeszcze nie przyszedł.

I Napoleon nie panował już nad sobą. Widok starych, osadzistych murów ,z których grzmiały wciąż salwy armatnie, drażnił go, o szaleństwo przyprawiał. Zdawało mu się, że te mury urągają mu, ze słabości jego szydzą. Więc jedna już tylko myśl nad nim zapanowała: te mury za wszelką cenę opanować, rozbić — niechby tylko po nich zostały gruzy.

Morze krwi ma się rozlać? Niech się rozlewa. Stos trupów pod samo niebo ma się wznieść? Niech się wznosi.

Nie chciał słuchać przestróg cudzego, ani własnego rozsądku. W mieście i w zamku zgromadził nieprzyjaciel olbrzymie zapasy prowiantu, amunicyi, wszelkich potrzeb wojennych; burząc miasto i zamek, niszczyło się podstawy własnej armii. Ślepy na to był i głuchy.

Otrąbiono szturm generalny . Każdemu z korpusów wyznaczono miejsce właściwe.

Księcia Józefa z armią Księstwa Warszawskiego pchnięto na punkt najbardziej wysunięty i najgroźniejszy. Miał on przebyć Dniepr, zniszczyć mosty, nieprzyjacielowi służące i przy pomocy sześćdziesięciu dział umożliwić załodze odwrót. Jednocześnie artylerya gwardyi rozbijać miała mury.

Polaków, jak zawsze, posłano na pierwszy ogień. Męstwo ich było już uznane, z ust cesarza otrzymali miano: *braves des braves* — należało tę moc i ten zapał odpowiednio wyzyskiwać.

Polacy zaufania cesarskiego nie zawiedli. Rozwarło się przed nimi piekło — bez namysłu w nie skoczyli. Nieprzyjaciel bronił się zajadle. Ustępował, lecz każdą piędź ziemi kazał okupywać strasznemi ofiarami.

Dostrzegł książę niebawem, że ma wrogów nietylko przed sobą: pułki rosyjskie, chyłkiem z zamku wypełzłe, szarpały go z boku, do zupełnego otoczenia i odcięcia dążyły.

Próżne wysiłki! Przy Poniatowskim, na czele swych pułków walczyli: Zajączek, Kniaziewicz, Izydor Krasiński, rycerze na miarę Bayarda, heroje, lwy...

Wycieczkę, z murów wysłaną, wtłoczono z powrotem między mury.

Dwa okropne wybuchy, które chwilowo cały zamęt bitwy zagłuszyły, dały znać, że artylerya wysadziła dwie bramy obronne. Wdarły się przez nie natychmiast pułki polskiej piechoty z nastawionemi bagnetami.

Miasto było zdobybte — zdobyte przez Polaków, zdobyte ceną ich krwi szlachetnej.

Zaprawdę, zawiele tej krwi przelano. Nawet wówczas, gdy nagrodą jej był uśmiech cesarza i tytuł *braves des braves* — zawiele.

Jeszcze, gdy wynik ataku nie był wiadomy, kula nieprzyjacielska śmiertelnie ugodziła generała Grabowskiego. Na noszach, utworzonych naprędce z karabinów, żołnierze unieśli go na stronę. Lekarz rozerwał mundur, obejrzał broczącą ranę — smutnie głową pokiwał.

Na chwilę wyrwał się z szeregów, do towarzysza przybiegł pułkownik Zakrzewski.

— Widzisz, kolego — rzekł doń tamten głosem gasnącym — ziściła się przepowiednia. Los mój we wszystkiem różny od losu „kawalera". Tracę życie i nie oglądam zwycięstwa...

W tej chwili huk wystrzałów głusząc, rozdarł powietrze krzyk potężny, od którego ziemia zadrżała. Taki krzyk dobywa się tylko z piersi zdobywców. Pułkownik odwrócił się i ujrzał na murze sztandar francuski, zatknięty ręką polskiego żołnierza.

— Zwycięstwo, generale! — zawołał, ściskając ziębnącą już dłoń towarzysza.

— A więc... nie żal mi życia — wyjąkał Grabowski. — Bóg dobry... Użalił się nademną...

— I nademną!... — jęknął tamten, ugodzony w tejże chwili odłamem granatu.

Więcej wymówić nie mógł, krew buchnęła mu ustami, wyciągnął przed siebie ręce i runął obok towarzysza.

Zapadał wieczór. W innych punktach mordownia nie ustała. Do Napoleona wieść o tryumfie Polaków nie przedarła się jeszcze.

Cesarz siedział na stołku przed swym namiotem, odurzony piekielnym łoskotem, dymem prochu, wyziewami krwi. Kapelusz zsunął mu się na oczy, broda zwisła ,nos wydawał się dłuższy, niż zwykle. Ktoby nań z boku patrzył mniemałby, że śpi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przepowiednia kabalarki.

Z oryginału angielskiego przełożyła M. K.

8)

(Ciąg dalszy.)

— Pewno tam pani ma pieniądze — rzekła Sylwia, wskazując na kufer.

— O nie — tutaj mam pieniądze — tu pani Wachner otworzyła swój alpagowy stanik; Sylwia ujrzała do podszewki przytwierdzone małe skórzane woreczki.

— Wszystkie pieniądze mam tutaj — tutaj najbezpieczniejsze miejsce.

Wróciły do kuchni. Woda już się gotowała, Sylwia sparzyła herbatę.

— O będzie za mocna, my tylko szczyptę dla siebie parujemy. No, a teraz do jadalni, a ja poniosę tackę.

— Nie, nie — rzekła Sylwia wesoło — dlaczego nie miałybyśmy wypić tutaj w kuchence?

Pani Wachner spojrzała pytająco.

— W kuchence?

— Ależ tak, naturalnie.

Przysunęła dwa krzesła do stołu i usiadła pierwsza.

Sylwia z przyjemnością wypiła herbatę, po przejażdżce uczuła się dziwnie zmęczoną i głodną.

— Zobaczę, czy powóz zajechał — rzekła pani Wachner wreszcie.

Gdy odeszła, Sylwia obejrzała się z ciekawością. Cóż za dziwne życie prowadzili ci ludzie. Jeśli byli dosyć bogaci, aby grać w ruletę, mieli napewno dosyć pieniędzy, aby żyć wygodniej. Gdy Sylwia szukała masła, nieumyślnie zobaczyła kawałek sera, zimnego mięsa i kilka jaj na talerzu. Nie ma dziwu, że pan Wachner z takim apetytem zajadał niesmaczne śniadanie w pensyonacie Malfait.

— Powóz zajechał — rzekła pani Wachner. — Prędko musimy jechać, bo przyjaciel Fryc gniewałby się. Czy pani uwierzy, że on się zawsze uważa za pana, od czasu, kiedy jesteśmy po ślubie? Ale kochamy się bardzo, nie przypominam sobie, abyśmy się kiedy na dłużej jak kilka godzin rozłączyli.

Gdy wyszły razem, pani Wachner wsunęła klucz od mieszkania pod słomiankę, leżącą przed drzwiami.

Sylwia zaśmiała się.

— Dlaczego pani to czyni? Nic łatwiejszego jak wnijść do mieszkania.

— Tak, to prawda, ale nic nie ma do ukradzenia — pieniądze zawsze mamy przy sobie, jak pani mówiłam. I ja radzę pani także tak uczynić — dodała życzliwie.

ROZDZIAŁ IX.

Po kwadransie dobrej jazdy zajechała Sylwia z panią Wachner przed drzwi kasyna. Pani Wolska oczekiwała już w sali.

— Nie mogłam sobie wyobrazić, co się paniom stało — wykrzyknęła — ale oto twoja karta, Sylwio. Teraz jesteś łopuszczoną do gry w baccarata.

Pan Wachner powitał żonę ze zmarszczoną brwią. Może, że był zadowolony z jej widoku, ale okazywał to w dziwny sposób. Prędko jednakże zdradziła się tajemnica złego humoru, bo pani Wachner wyjęła z torebki 100 franków.

— Oto masz! — rzekła wesoło — możesz rozpocząć nową grę.

Sylwię bawiło to wszystko ogromnie. Więc biednemu „przyjacielowi Frycowi" nie było wolno grać, dopóki żona nie była przy tem. Nie dziw, że wyglądał zły i znudzony. Miał do tego czasu tylko obserwować grę i wypracować nowy system, to było jasne.

Klub był przepełniony i nawet trochę trudno było tego wieczora zbliżyć się dobrze do stołu i grać wygodnie; ale jakiś znajomy zarezerwował miejsce dla Anny.

— Miałam dużo szczęścia — szepnęła Sylwii. — Wygrałam 300 fr. a teraz myślę trochę wypocząć. Wejdź na moje miejsce, ja postoję. Nie trzeba ryzykować więcej niż 20 fr. najpierw — jeśli ci wena dopisze ryzykuj więcej, nie obawiaj się niczego.

Sylwia wślizgnęła się na Anny miejsce, która stanęła tuż za krzesłem.

Drżącą ręką położyła dwudziestofrankówkę na zielonym stoliku. Wtem niespodzianie ujrzała Hrabiego de Vinci.

Stał naprzeciw niej. Jego oczy były zwrócone na jej twarz, a dziwnie smutny uśmiech osiadł na ustach! Położył także 20 fr. tam, gdzie jej pieniądze leżały.

I wtedy ujrzała Sylwia, że jej i hrabiego stawka zdwoiły się. Cztery złote pieniądze leżały tam, gdzie były poprzednio dwa.

— Zostaw pieniądze — zobaczymy co się stanie — rzekła Anna szeptem — ryzykujesz właściwie tylko dwadzieścia franków.

Sylwia usłuchała rady przyjaciółki.

Znów nastąpiła mała pauza. Znów zabrzmiały słowa krupiera.

Sylwia obejrzała się, wszyscy patrzeli z natężoną uwagą. Tylko hrabia zdawał się być obojętny.

Po chwili cztery złote monety dorzucono do stawek.

— Weź lepiej wygraną, bo ci kto weźmie — szepnęła Anna ponownie.

— Ale ja niechcę.

— Ależ musisz.

Sylwia już wyciągnęła rękę, aby wziąć swoje pieniądze, ale cofnęła ją znowu — miły uśmiech ukazał się na jej twarzy — nie gniewaj się — zdawał się mówić do Pawła — ale to takie zabawne.

Hrabia przyglądał jej się z zachwytem. Jak słodko, jak skromnie wyglądała, a przedewszystkiem jak cudnie. Jednakże przykro mu było, że tutaj widział „swoją małą angielską przyjaciółkę".

— Czy wszystko stawiasz? — zapytała Anna.

— Tak jest. To zabawniej. Właściwie tylko 20 fr. są moje.

I znów wygrała.

— Co za szkoda, że od razu nie stawiłaś stu. Pomyśl jak bogatą byłabyś dzisiaj. Jasne jest, że masz dziś niezwykła szczęście. Ale przerwiej na razie.

Sylwia spojrzała na hrabiego — ten oczyma potwierdził Anny słowa, wzięła więc swoje 8 monet złota.

Dobrze zrobiła, bo tym razem karta sprzyjała bankierowi.

Wtem coś dziwnego zdarzyło się.

Ktoś — zdawało jej się, że to pan Wachner — rzekł do krupiera, którego obowiązkiem było rozdzielać karty, „A Madame la main!“

Nie wiedząc prawie co czyni Sylwia wzięła posunięte jej karty do ręki. Pomruk zadowolenia rozległ się, bo odkryła pierwszą kartę dziewiątkę kierową, i króla karowego — obie wygrywały.

Ciągle i ciągle odkrywała tylko wygrywające karty — każda kombinacya przyniosła jej szczęście, a pogrom dla bankeira.

Wszystkie oczy pełne zdumienia zwróciły się na młodą Angielkę. Tylko hrabia nie patrzył na nią. Ale obserwował jej grę.

— Postaw teraz sto franków — rzekła Anna.

Sylwia usłuchała, a hrabia poszedł za jej przykładem. Nieprzyjemne uczucie ogarnęło ją, nie chciała, aby on tyle stracił.

Ale wygrali znowu.

A potem cały stół poszedł za Sylwii przykładem.

— Ta śliczna Angielka gra po raz pierwszy — obiegło dokoła stołu.

Bankier, sympatyczny młody Francuz, patrzył na Sylwię z niepokojem. Dzięki jej dużo stracił — szczęściem miał na to.

Po pół godziny Sylwia powstała z wygraną 8 tysięcy franków, hrabia wygrał tę samą sumę.

Wszyscy wyglądali zadowoleni z wyjątkiem bankiera. Po raz pierwszy uśmiech zabłąkał się nawet na pana Wachnera obliczu.

A pani Wachner była zachwycona. Schwyciwszy Sylwię, zawołała — uściskałabym panią, ale wiem, Angielki nie lubią tego — to cudnie, cudnie. Patrz ilu ludzi uczyniłaś szczęśliwymi.

— A biedny bankier?

— O, on jest bardzo bogaty.

Pani Wolska stawiała także za Sylwii przykładem, ale znacznie później — wygrała także 4 tysiące.

— Cztery tysiące — zawołała radośnie — to dobre jak na mnie. A pani? — wróciła się do pani Wachner.

— Mój mąż — odrzekła — grał niestety i teraz podług swego systemu — tylko 800 fr. wygrał.

Sylwia nie słyszała co przy niej mówiono, dziwiła się w duszy, czemu hrabia nie przyszedł jej powinszować. Myśl, że szczęście przyniosła mu, radowała ją głęboko.

Opuścił także stół gry i stał teraz przy oknie. Nie spojrzał nawet na miejsce, gdzie stała. Ta obojętność bardzo była przykra Sylwii, wszakże zupełnie obcy dziękowali jej za szczęście, które im przyniosła.

— Pójdźmy na lody gdziekolwiek — zaproponowała pani Wachner. — Gdy przyjaciel Fryc się gniewa, często jak kawał lodu traktuje swoją żonę.

Wyszli we czworo do najbliższej kawiarni, gdzie lody i ciasta były doskonałe. Anna i pan Wachner oświadczyli, że pójdą grać na nowo do klubu.

— Ale ja nie będę już grać dziś wieczorem — rzekła Sylwia — jestem bardzo zmęczona.

Odprowadziły z panią Wachner grających do klubu, a same usiadły oczekując rezultatu. Niedługo czekały, Anna z panem Wachnerem wrócili niebawem, straciwszy dosyć złota, i w okropnych humorach i pełni gniewu na Sylwię.

— Gdybyś była grała znowu, a my szli za twoim przykładem, bylibyśmy wygrali, zamiast tyle przegrać — rzekła Anna ze złością.

— Bardzo mi to przykro — nigdy Anna nie była tak rozgniewaną na nią.

— Wybacz — wykrzyknęła Anna. — Nie powinnam mówić tak do ciebie, droga przyjaciółko. Bezwątpienia byłabym tak samo przegrała. Wiesz wtenczas kabalarka przepowiedziała mi dużo szczęścia w grze — a nawet dzisiaj miałam niezły dzień.

— Pójdź ze mną na obiad do willi du Lac — zaproponowała Sylwia.

Pożegnały Wachnerów; Sylwia opowiedziała Annie o swej wizycie w „Namiocie konwalii.“

— To zdaje się bardzo dobrzy ludzie — dodała — a pani Wachner jest bardzo serdeczna.

— Tak jest, ale to bardzo ostra kobieta, biedny małżonek nie miał ani grosza, dopóki nie przyszła, i dlatego był taki zły. Chciałam mu nawet pożyczyć, ale z zasady nie pożyczam w kasynie. To prowadzi tylko do nieprzyjemności.

W sali stał hrabia, czytając gazetę, ukłonił się ceremonialnie, skoro obie weszły.

— Ależ to hrabia de Vinci — rzekła Anna niezadowolona — nie przypuszczałam, że tu będzie.

— Tak, on tu mieszka — odrzekła Sylwia, kryjąc pomieszanie.

Anna odpowiedziała poważnie. — Smucę się, że jesteś razem w jednej willi z tym człowiekiem. Nie zapoznaj się tylko za dobrze z nim, Sylwio. Hrabia jest człowiekiem bez charakteru, wszystko przegrał w karty — a teraz zamiast pracować, zadawalnia się żyć z łaski szwagra, kupca D'Eglemont. Będąc na twojem miejscu, byłabym bardzo z daleka z nim. Jest on stale na poszukiwaniu dobrej partyi.

Sylwia nie odpowiedziała, doznała tylko uczucia zadowolenia, że Anna nie mieszka z nią razem.

Fakt, że Anna miała dziwne uprzedzenie do hrabiego, popsuł Sylwii cały humor przy obiedzie. Ale hrabia nie przyszedł na pogawędkę tego wieczoru, mimo, że Sylwia napewno tego oczekiwała.

Po obiedzie zniknął, a Anna ze Sylwią poszły do ogrodu. Ale nie poszły do ogrodu warzywnego. Miał on dla Sylwii dziwne znaczenie, nie chciała popsuć wrażenia obecnością osób trzecich.

Pani Wolska pijąc doskonałą kawę, znów wspomniała hrabiego.

— Bardzo się dziwię, że jest w Lacville — myślałam, że bywa w bardziej eleganckich miejscowościach. Zimą jest zawsze w Monte Carlo.

— Ależ Anno, ostatecznie hrabia czyni tylko to, co wielu innych.

— Domyślam się, co chcesz powiedzieć — to tak coś o tem przymawianiu kotła garncowi, prawda? Jakie doskonałe mamy przysłowia! Ale nie, tutaj jest różnica. Ja mam stałe dochody i mogę je wydać choćby na grę. Mogłabym za to mieć dom duży, lub raczej mały, bo nie jestem bardzo bogatą. Ale wolę grać, i mogę z pieniędzmi uczynić co mi się podoba. Hrabia jest zupełnie co innego. Mówiono mi, że to bardzo wykształcony, inteligentny człowiek. On powinien pracować, czynić cokolwiek dla dobra swego kraju. A potem taki jest niesympatyczny, nie ma ani przyjaciół ani znajomości, — zawsze robi wrażenie, jakby się czegoś wstydził. Nigdy nie jest zadowolony, nawet, gdy wygrywa.

— Nie wygląda tak złym jak pan Wachner — zauważyła Sylwia z uśmiechem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W płomieniach.

Z francuskiego tłumaczyła **M. P.**

(Ciąg dalszy.)

Nie darmo uczył się Coquenil tego mistrzowskiego sposobu ubezwładniania nieprzyjaciela! Z szalonem zadowoleniem wykręcał ramie coraz mocniej — już słyszał trzeszczenie muszkułów — jeszcze tylko kilka sekund, a zwycięży! Lecz w chwili, w której już chciał odetchnąć swobodnie, uczuł straszny ból w okolicy serca; ramiona opadły bezsilne, w oczach mu pociemniało i na wpół nieprzytomny upadł na ziemię. Nieznajomy bronił się dzielnie; pomimo okropnego bólu, zdołał drugą ręką uderzyć detektywa w dolną część serca, w ów nervus sympathicus, którym Bóg obdarzył na nieszczęście każdego chełpliwego mocarza. Jak ścięta kłoda drzewa upadł Coquenil, lecz nawet tracąc przytomność, zdołał jeszcze pomyśleć:

— Tym razem uderzył mnie lewą ręką.

I czując, że albo go przeciwnik zabije albo w każdym razie ucieknie, zebrał raz jeszcze wszystkie siły, schwycił, padając, nogę nieznajomego i ugryzł go poniżej kolana. Ból dziwnej dodał mu mocy — z rozpaczą umierającego wbił ostro swoje zęby w ciało wroga.

Gdy po dość długim czasie odzyskał przytomność, ujrzał się zawsze jeszcze na tem samem miejscu — lecz kilku policyantów stało przy nim i nacierało mu twarz i ręce octem. W pierwszej chwili nie wiedział, co się stało, ale zaraz potem wróciła mu pamięć, a z nią razem przekonanie, że ów nieznajomy wywołał umyślnie tę walkę, aby — aby...

Coquenil wsunął czemprędzej rękę do kieszeni, w której miał kawałki skóry, zawinięte w papier. Przeszukał wszystkie kieszenie, lecz daremnie.

Skórka, na której wyciśnięte było nazwisko i adres kobiety z numeru szóstego, znikła bez śladu!

Przeciwnik był śmiały i podstępny!

— — — — — — — — — —

Z uderzeniem dziewiątej był Andrzej Coquenil w Pałacu Sprawiedliwości i udał się zaraz na górę. Po dotkliwej porażce, jaką poniósł, zdążył się jeszcze wykąpać i przespać godzinę, ale z atletą nie „pracował“; dosyć miał na dziś walki.

Poszedł więc do pokoju pana Ville. W pokoju tym znajdowało się już, w ciągu ostatnich kilku lat, tyle przestępców, badanych przez sławnego sędziego śledczego, że można było spisywać całe historye o nich. Niektórzy męczeni i dręczeni badaniem, przyznawali się do winy dla tego, aby skończyć już raz te męki.

Coquenil opowiedział panu Ville wszystkie szczegóły ubiegłej nocy, nie przemilczając ani spotkania swego z nieznajomym ani porażki, jakiej od niego doznał.

Pan Ville słuchał uważnie. Więc to jednak nie było samobójstwo — przeciwnie, chodziło tu o bardzo niebezpiecznego i nieustraszonego mordercę!

— Jestem tego zdania, — rzekł w końcu, — że nie chodziło mu wyłącznie o adres tej kobiety! Nie mógł przecież wiedzieć, czyś pan sobie nie zapisał lub nie spamiętał jej nazwiska i adresu, czy zresztą spamiętałeś pan jedno i drugie? Nie? O, szkoda! Więc jak mówiłem, myślę, że nie zależało mu na tem, chciał on tylko zaimponować panu swemi wiadomościami i swoją urojoną — albo rzeczywistą potęgą!

Obydwaj urzędnicy naradzali się długo nad tem, w jaki sposób mieli dalej postępować. Działalność sądowa w pełnym była już biegu. Ciało Hiszpana zostało przeniesionem do Morgue, gdzie miała się odbyć sekcya, i pieniądze i klejnoty zmarłego znajdowały się w rękach sędziego, a fotografie pokoju i odciśnienia gipsowe nóg miały być każdej chwili gotowe. Ojciec Tigol był już przed godziną wysłany na odszukanie mieszkania Amerykanina, który wzbraniał się dać jakichkolwiek bądź wyjaśnień, a przecież teraz chodziło głównie o to, aby mieszkanie jego przeszukać jak najdokładniej.

Lecz w odszukaniu mieszkania uprzedził Tigola pan Gibelin. Właśnie zameldowano go teraz i wszedł do pokoju, uśmiechnięty i pewniejszy siebie, niż zwykle.

— Przynosisz pan dobre wiadomości? — zawołał sędzia.

— Nie straciłem daremnie czasu, — odrzekł rozpromieniony, — bo chociaż sprawa ta nie jest już w moich rękach, to może mi jednak będzie wolno pomódz memu mądremu koledze, — dokończył, kłaniając się z przesadzoną uprzejmością Coquenilowi.

— Więc co...

— Amerykanin mieszka na ulicy Racine, w hotelu des Etrangers, na rogu bulwaru św. Michała. Rozmawiałem przypadkiem z tym, który rozsyłał zaproszenia na kolacyę, i od razu dowiedziałem się adresu pana Kildale. Mieszka on w małym pokoiku na szóstem piętrze! Zamiast podłogi są cegły! Schody wysokie i ciemne, ale wejście na nie opłaciło się!

— Przeszukałeś pan jego rzeczy?

— Chyba! Potrzebowałem na to więcej niż godzinę, bo musiałem jeszcze służącą wybadać.

— I co znalazłeś pan? — pytał Coquenil niecierpliwie.

— Pomiędzy innemi rzeczami fotografią kobiety, która z Martinezem była w numerze szóstym, — odrzekł Gibelin niezmiernie z siebie zadowolony.

— Co u licha! — krzyknął detetktyw.

— Nie zależy panu przecież tak wiele na tem — znasz przecież jej nazwisko i adres, — zauważył Gibelin z tak szyderczem spojrzeniem, że Coquenil poznał natychmiast, że współzawodnik słyszał już o klęsce jego i że się niezmiernie z tego cieszy.

— Zkąd pan wiesz, że to fotografia tej właśnie kobiety? — spytał sędzia.

— O, to długa historya. Rozmawiałem przypadkiem z żoną odźwiernego w domu kościelnego, gdzie Amerykanin został aresztowany i dowiedziałem się od niej, że około wpół do dziesiątej zajechała tam jakaś dama w strojnej, wyciętej sukni i posłała list do mieszkania pani Bannet, u której właśnie był pan Kildale, a raczej u jej wychowanki!

Nellie. Po przeczytaniu listu zbladł Kildale jak trup, wybiegł z pokoju i odjechał z ową damą. Skonstatowałem, że dziesięć minut później stanęli przed jego hotelem, i że jak szalony pędził po schodach do swego mieszkania, podczas kiedy ona w dorożce czekała. Kelner Józef poznał ją odrazu z fotografii, telefonistka także. Oboje zapewnili uroczyście, że to ta sama dama, która z Martinezem była w numerze szóstym.

— Pokaż mi pan fotografię — rzekł sędzia, wyciągając rękę.

— Ach — nie mam jej, — odpowiedział Gibelin zakłopotany.

— Mówiłeś pan, że znalazłeś ją w mieszkaniu Amerykanina?

— Tak, ale tylko jeden róg, który nie był jeszcze spalony.

— Spalony?

— Tak! Po to właśnie pędził Kildale do swego mieszkania, aby spalić fotografię i mnóstwo listów. Kominek był pełen jeszcze świeżego popiołu, a służąca mówiła, że zupełnie był czysty, gdy wieczorem rozbierała łóżko. Udało mi się zdobyć tylko to...

I wyjąwszy małą paczkę z kieszeni, rozłożył na stole kilkanaście kawałków na wpół zwęglonego papieru, zapisanych niezaprzeczenie pismem kobiety. Oprócz tego znajdował się tam jeszcze kawałek białej papy.

— Nazwisko fotografa można jeszcze przeczytać, — rzekł.

— Watts, Regent Street — London, — prześlabizował Coquenil. — Nie możnaby posłać z tem jednego z naszych policyantów? Każdy kupiec poznaje swój towar po najdrobniejszej próbce — możeby fotograf poznał, kogo fotografia ta przedstawia!

— Doskonała myśl, — zawołał sędzia, dotykając gwoździka elektrycznego dzwonka.

— Posłaniec pana może też zabrać banknoty pięciofuntowe, znalezione w kieszeni zmarłego, i dowiedzieć się w banku angielskim, zkąd je dostał.

— Słusznie! — potwierdził pan Ville i udzielił wchodzącemu urzędnikowi potrzebnych instrukcyj. Potem zwrócił się znów do Gibelina z pytaniem:

— Czy służąca widywała już częściej tę damę?

— Tak. Była ona trzy razy u Kildala w przeciągu siedmiu miesięcy, bo tak dawno mieszka on w hotelu. Kobieta owa ma być młoda i bardzo piękna.

— Hm. Więcej pan już nie wiesz?

— O tak! Dowiedziałem się, kto jest właścicielem pistoletu, którym zastrzelono Martineza!

— Doprawdy? — zawołali panowie Ville i Coquenil równocześnie.

— Doktor Joubert zapewniał mi nawet, że kule, znajdujące się jeszcze w pistolecie, są zupełnie takie same, jak ta, którą przy sekcyi wyjęto z głowy zamordowanego. Dał mi pistolet, bo chciałem się przekonać, czy można go włożyć w puzdro skórzane, które znalazłem w pokoju Amerykanina. Proszę, przekonajcie się panowie sami!

Po tych słowach położył na stół pistolet i skórzane puzdro, i po dokładnem zbadaniu jednego i drugiego oświadczyli panowie Ville i Coquenil, że obydwa te przedmioty jedną tworzą całość!

— Służąca poznała też pistolet, — dodał jeszcze Gibelin. — Przed kilku dniami widziała go leżącego na zwykłem miejscu, ale wczoraj znikł i puzdro było próżne.

— Bardzo niekorzystnie dla Kildala — odezwał się pan Ville poważnie.

— Tak jest, — rzekł Coquenil, — ale byłoby to zbyt jasne i zbyt łatwe.

— My, którzy należymy do starej szkoły, — zawołał Gibelin szyderczo, — nie szukamy trudnych rozwiązań. Zadawalniamy się i łatwemi, jeżeli nam się same nasuwają.

— Zobaczymy, kto będzie miał słuszność.

— Nie sprzeczajcie się panowie, — prosił sędzia — mamy ważniejsze teraz zadania. Obejrzałeś też jego buty, panie Gibelin?

— Nie, bo myślałem, że pan poślesz do więzienia po te, które miał wczoraj na nogach.

— Nie możesz pan przecież wiedzieć, czy nie zmienił butów, podczas kiedy palił listy? Idź pan jeszcze raz do jego mieszkania i zapytał służącej, czy nie znalazła dziś rano w pokoju jego pary zabłoconycn butów. Przynieś pan buty, jakie tam są i postaraj się o te, w których został aresztowany.

— Natychmiast — odpowiedział Gibelin, i spoglądając z złośliwym uśmiechem na Coquenila, wyszedł z pokoju.

— Niesympatyczny człowiek, — rzekł sędzia. — Postaram się o to, aby mu dano inną jaką sprawę — nie chcę, aby się wtrącał ciągle do nas.

Potem zadzwonił i wydał urzędnikowi rozkaz:

— Za godzinę proszę przyprowadzić na badanie przedwstępne, Amerykanina Kildala. Zaraz potem przeniesiecie go do Sante. Osobna cela!

— Rozumiem.

Po wyjściu urzędnika rzekł Coquenil do sędziego:

— Opowiadanie Gibelina powinno być najpierw sprawdzone, przedewszystkiem jednak trzeba porównać odciśnięcia gipsowe z podeszwami butów Amerykanina. Nie byłoby lepiej, abym poszedł sam po owe odciśnięcia?

— Owszem, idź pan, — zawołał sędzia żywo, — ja tymczasem przejrzę raz jeszcze wszystkie szczegóły morderstwa, przeczytam sprawozdania, porównam zeznania i zapiszę pytania, które stawię Amerykaninowi.

Po upływie pół godziny wrócili jednocześnie Gibelin i Coquenil.

— Więc jakże...? — spytał sędzia wchodzących.

Coquenil milczał, ale Gibelin zawołał rozpromieniony.

— Mamy parę butów Kildala, które odpowiadają zupełnie odciśnięciom gipsowym. Kształt podeszwy, gwoździe, wytarte miejsca — wszystko zgadza się na włos.

— Jest to ważny dowód! Bardzo ważny! — rzekł sędzia i spojrzał znacząco na Coquenila.

ROZDZIAŁ IX.

Po niespokojnie spędzonej nocy siedziała następnego dnia Nellie za swym stolikiem w katedrze w smutnych pogrążona myślach. Była to niedziela, lecz nabożeństwo już było skończone i publiczność tłumnie opuszczała świątynię. Nagle zbliżyła się do Nellie pani Bannet z jakąś panią, która pragnęła zwiedzić wieżę kościoła. Dama ta bardzo była piękną i podpadająco ubraną, Nellie zaś podobała się najwięcej jej wysoka, wysmukła postać, czerwone usta i lekka woń fiołków, unosząca się w około niej.

— Madame życzy sobie iść z tobą na wieżę, — rzekła pani Bannet z podstępnym uśmiechem. — Powiedziałam, że nie możesz dziś właściwie odchodzić od twego stołu, mianowicie teraz, po Mszy, ale mogę cię zastąpić. Pani pewnie będzie hojną...

— Zapłacę ile żądacie, — odparła strojna dama. — Pięć franków albo dziesięć...

— Pięć wystarcza, — rzekła Nellie, nie zważając na znaki starej. — Ja kocham nasze wieże w takim dniu jak dzisiejszy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)